



METSY HINGLE



*Porwana
narzeczona*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Przecież nie musisz tego robić. Jeszcze nie jest za późno. Możesz wszystko odwołać - rozległ się nagle cichy, stłumiony szept.

Lorelei Mason oderwała wzrok od przyszłej teściowej, która właśnie przechodziła przez kościół, kierując się w stronę głównego ołtarza, i odwróciła się do młodszej siostry. Desiree, ubrana w sukienkę z różowego jedwabiu podkreślającego jej kremową karnację i rudawy odcień włosów, patrzyła na nią z troską w oczach.

- Co mogę odwołać? - zdziwiła się Lorelei.

- Ten ślub - szepnęła Desiree, zerkając szybko na drzwi kościoła. - Jeśli nie jesteś pewna, czy powinnaś wyjść za Herberta, to nie bierz z nim ślubu. Możesz powiedzieć wszystkim zaproszonym gościom, że po namyśle zmieniłaś zdanie.

- A dlaczego sądzisz, że nie powinnam wychodzić za Herberta? - zapytała Lorelei z pozornym spokojem, choć nią również targały wątpliwości. W gruncie rzeczy nie były to nawet wątpliwości, lecz niemal zupełna pewność, że popełnia wielki błąd, wychodząc za mąż za Herberta Van Owena III. Pewność ta zagościła w jej umyśle przed dwoma tygodniami, czyli wtedy, gdy w Mesie pojawił się ten przekłety Jack Storm. Lorelei nie spodziewała się go tu ujrzeć ani wcale tego nie pragnęła. Po co taki miłośnik morza przyjechał nagle do pustynnej Arizony? I dlaczego stało się to akurat przed jej ślubem?

- Bo nie wyglądasz tak, jak powinna wyglądać panna młoda w dzień swojego ślubu - szepnęła Desiree.

Lorelei spojrzała na swoją suknię z cieniutkiej koronki i śnieżnobiałego atlasu, zamówioną przed kilkoma miesiącami w sklepie w Phoenix. Ta sukienka kosztowała ją równo połowę miesięcznej pensji. Na nogach Lorelei miała białe pantofelki, a w ręku bukiet z lili i kremowych różyczek.

- Zabawne - zwróciła się do siostry z wyższością, do jakiej w pełni upoważniały ją dwa lata starszeństwa. - Wydaje mi się, że wyglądam właśnie tak, jak powinnam.

Desiree westchnęła dramatycznie, a potem z dezaprobatą popatrzyła na Lorelei.

- Czy ty musisz brać wszystko tak dosłownie? Nie mówię o sukience, tylko o tobie.

- A jak, twoim zdaniem, powinnam wyglądać? - zapytała Lorelei z irytacją. Nie miała zamiaru dopuścić do tego, by słowa siostry zburzyły jej z trudem osiągniętą, kruchą równowagę umysłu i spokój. Decyzję o małżeństwie z Herbertem Van Owenem III podjęła po szczegółowym rozważeniu absolutnie wszystkich za i przeciw. Znali się od czterech lat, a od dwóch byli zaręczeni. Ona sama miała już dwadzieścia osiem lat i była dojrzałą, rozsądną kobietą, a nie naiwną nastolatką podatną na bzdurne, romantyczne porywy serca. Niejasny niepokój, który wciąż tlił się w głębi jej duszy, wołała złożyć na karb zrozumiałego podniecenia mającą się niebawem rozpocząć uroczystością.

Powiodła wzrokiem w stronę zakrystii, zastanawiając się, co też zatrzymuje tam tak długo jej ojca i starszą siostrę.

- Powinnaś wyglądać jak szczęśliwa panna młoda - nie ustępowała Desiree.

- Jestem szczęśliwa - odrzekła Lorelei sucho.

- Ale nie ma w tobie... tego specyficznego blasku. W dzień ślubu panna młoda powinna promienieć takim blaskiem.

- Rany boskie, nie jestem żarówką - mruknęła Lorelei. - I nigdy nie widziałam żadnej kobiety, która by promieniała blaskiem, w dzień swojego ślubu czy w jakikolwiek inny. - Może oprócz matki, pomyślała. Na twarzy matki ilekroć patrzyła na ojca, rzeczywiście pojawiał się ów specyficzny blask, o którym mówiła Desiree. - To tylko jeszcze jedna z tych bzdur, jakie

wykorzystuje się w reklamie, żeby wcisnąć biednym kandydatkom na panny młode jak najwięcej niepotrzebnych przedmiotów.

- Nieprawda - upierała się Desiree, obracając nerwowo w dłoniach bukiet składający się z różowych i białych róż.

Lorelei zmarszczyła czoło. Co się właściwie dzieje? Ta nerwowość jej siostry była bardzo dziwna. Desiree zachowywała się tak tylko wówczas, gdy miała coś na sumieniu.

- Desiree, mam wrażenie, że chyba zbyt często obsadzano cię w rolach romantycznych i naiwnych pańienek.

- Moje role nie mają tu nic do rzeczy.

- To o co ci chodzi? Dlaczego jesteś taka zdenerwowana? Przecież to nie ty wychodzisz za mąż, tylko ja.

- Och, kochanie. - Desiree mocno uścisnęła rękę Lorelei i w jej oczach pojawiły się łzy. - Jesteś moją siostrą. Kocham cię całym sercem i nie chcę, żebyś popełniła ogromny błąd, którego możesz żałować do końca życia,

- A dlaczego myślisz, że będę kiedykolwiek żałowała tego, że zdecydowałam się wreszcie wyjść za mąż za Herberta? - spytała, odsuwając się od siostry.

- Bo wydaje mi się, że go nie kochasz.

- Co za bzdura - prychnęła Lorelei.

- Nie, wcale nie. Myślę, że tylko chciałabyś go kochać, ale nie potrafisz, bo nadal jesteś zakochana w Jacku i...

- Nawet nie wymawiaj przy mnie imienia tego... tego drania - uniosła się Lorelei.

- Ale...

- Wszystko gotowe? - zapytał ojciec panny młodej, podchodząc do nich w towarzystwie swojej najstarszej córki, Clei.

Lorelei wzięła się w garść. Rzuciła Desiree spojrzenie które miało oznaczać: koniec dyskusji, i odrzekła:

- Gotowe.

- No to zaczynajmy ten spektakl - mruknął z uśmiechem Henry Mason.

- Dobrze się czujesz? - zapytała jednocześnie siostrę Clea. - Wyglądasz na zdenerwowaną.

- Czuję się dobrze, tylko chciałabym, żeby już było po wszystkim!

Clea powątpiewająco uniosła brwi. Lorelei zreflektowała się i ciszej dodała:

- Przepraszam. To zwykłe podniecenie.

- Tym bardziej cieszę się, że to ty wychodzisz za mąż, a nie ja - uśmiechnęła się Clea.

Lorelei również zmusiła się do uśmiechu. Ruchem głowy dała organiście sygnał i wewnątrz kościoła wypełniło się dźwiękami muzyki. Clea pierwsza powoli ruszyła w stronę ołtarza.

- Moja butonierka - zawołał nagle Henry Mason. - Została w zakrystii!

- Daj spokój, tato. Nie musisz jej mieć.

- Jak to! Nie mogę poprowadzić córki do ołtarza bez odpowiedniego stroju. Twoja matka zatrułaby mi życie. Zaraz wrócę.

Ojciec zniknął, a Lorelei poczuła, że ręce jej wilgotnieją. Bukiet, kurczowo zaciśnięty w dłoni, zaczął drżeć. Było jej gorąco i zimno jednocześnie. Przycisnęła rozdygotaną dłoń do brzucha. Uspokój się, powtarzała sobie w myślach. Oczywiście, że chcesz wyjść za Herberta. Może nie przechodzą cię dreszcze od jego pocałunków i pieszczot, ale to jeszcze nie znaczy, że nic do niego nie czujesz. Kochasz go i dziś wyjdiesz za niego.

Clea była w połowie drogi do ołtarza.

Herbert już tam czekał. Desiree wysunęła się z bocznej nawy, gotowa natychmiast ruszyć śladem siostry, zawahała się jednak w pół kroku i jeszcze raz spojrzała na Lorelei.

- Przepraszam cię. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Lorelei wpatrzyła się w nią ze zdumieniem.

- Co mam ci wybaczyć?

- To, że nie pozwoliła ci wyjść za niewłaściwego mężczyznę.

Na dźwięk znajomego głosu Lorelei obróciła się na pięcie i zamarła w bezruchu. W drzwiach kościoła stał Jack. Ciemne, od dawna nie strzyżone włosy opadały mu na kark, niebieskie oczy błyszcząły. Spojrzała na jego dłonie, duże i zbrązowiałe od słońca; trzymał w nich coś, co przypominało złożone prześcieradło.

- Cześć, śliczna! - zawołał z uśmiechem.

Drgnęła, wyrwana z zauroczenia.

- Co ty...?

Jack zarzucił jej prześcieradło na głowę. Zaskoczona Lorelei upuściła ślubny bukiet, usiłując wyplątać się ze zwojów tkaniny. Próbowwała krzyknąć, ale w ustach poczuła kłęb miękkiej bawełny. Została uniesiona z ziemi i przerwana przez silne, muskularne ramię. Dobiegły ją pierwsze tony marsza weselnego, a jednocześnie otoczył ją lipcowy skwar i po chwili uświadomiła sobie, że już nie znajduje się w kościele.

To niemożliwe, pomyślała. Jej zdumienie przerodziło się we wściekłość i znów zaczęła się gwałtownie szarpać.

- Nie wierć się - skarcił ją Jack, wymierzając klapsa w wypięte pośladki.

Otworzyła usta, ale znów natrafiła nimi na kłęb bawełnianego prześcieradła. Jack zbiegał po stromych schodkach kościoła; Lorelei miała wrażenie, że dokuczający od rana żołądek podchodzi jej do gardła. Pomyślała z satysfakcją, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby teraz zwymiotować na Jacka. Tyle że zniszczyłyby sobie sukienkę. Ślubną suknię! Została porwana sprzed ołtarza podczas własnego ślubu! Już chciała wygarnąć, co myśli o takich metodach postępowania, gdy naraz poczuła, że Jack wrzuca ją do samochodu i przypina pasami do fotela.

Trzasnęły drzwiczki, potem drugie i rozległ się warkot silnika. Po dłuższej szarpaninie z kłbowiskiem złożonym z prześcieradła i welonu Lorelei udało się uwolnić głowę. Na prawe oko opadł jej kosmyk, który wysunął się z kunsztownie upiętego koka. Odsunęła włosy z twarzy i spojrzała na Jacka z wściekłością.

- Jak śmiałeś!

Wrzucił wsteczny bieg i wycofał samochód.

- Co ty właściwie robisz?! - krzyczała wzburzona Lorelei, wyplątując w pośpiechu pozostałe części ciała z prześcieradła.

Jack uśmiechnął się tylko i dodał gazu.

- Już ci to wyjaśniłem. Powstrzymałem cię przed poślubieniem niewłaściwego mężczyzny.

- Ty chyba zupełnie zwariowałaś!

- Możliwe.

Lorelei kręciła się niespokojnie na siedzeniu. Na oczy opadł jej kolejny kosmyk włosów. Odsunęła go i zauważyła Desiree stojącą na schodkach kościoła. Na twarzy jej siostry jaskrawo malowało się poczucie winy.

Jack ostro zakręcił. Welon spadł z głowy Lorelei i osunął się jej na kolana. Spojrzała na zgnieciony tiul wyszywany perełkami, a potem znów na znikający w oddali kościół. Co sobie pomyślą jej rodzice? A Herbert?

Herbert! Och Boże, przecież on i jego matka czekają w kościele!

Lorelei jęknęła w duchu, myśląc o tym, co powie szacowna małżonka pana Van Owena III. Ta kobieta nigdy jej nie wybaczy tego, że była przyczyną kompromitacji Herberta!

- Zatrzymaj się! Zrób to w tej chwili!

Jack zupełnie ignorował jej krzyki.

- Jack, albo natychmiast zawrócisz, albo... albo wyskoczę z tego samochodu.

- Nie radzę ci tego robić - odrzekł spokojnie, mocniej naciskając pedał gazu. - Pokaleczyłabyś sobie tę swoją śliczną buzię o asfalt, a ja bym cię i tak zabrał z powrotem.

Lorelei zerknęła na szybkościomierz i z trudem przełknęła ślinę. Strzałka zbliżała się już do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Na twarzy Jacka malował się szeroki uśmiech. Lorelei odpięła pas i chwyciła za klamkę.

- Jack, ja nie żartuję. Zatrzymaj samochód, bo wyskoczę.

Nie zwracał na nią uwagi. Lorelei uświadomiła sobie, że on jej nie wierzy. Sądził, że zabraknie jej odwagi. Oskarżył ją przecież o tchórzostwo przed dwoma tygodniami, gdy nie chciała się z nim spotkać. Dobrze, teraz się przekona, na co ją stać. Ciekawe, czy taki skok jest bardzo trudny? W końcu kaskaderzy robią to codziennie. Lorelei wielokrotnie miała okazję obserwować ich wyczyny na planach filmowych. Ojciec Lorelei był aktorem, a matka charakterizatorką; dzieciństwo Lorelei i jej siostr upłynęło na nieustannych przeprowadzkach z jednego planu filmowego na drugi. Pewien dubler znanego aktora, któremu matka czasami robiła charakteryzację, pokazał jej kiedyś, jak się wykonuje takie skoki. Zwiń się w kłębek i turlaj, mówił. To wszystko, Lorelei wzięła głęboki oddech i nacisnęła klamkę.

Drzwi nawet nie drgnęły.

Kątem oka dostrzegła złośliwy uśmiech Jacka. Nacisnęła przycisk blokady, ale ledwie cofnęła rękę, coś stuknęło i przycisk znów wyskoczył.

Jack oderwał rękę od guzika przy kierownicy.

- Te automatyczne zamki są całkiem niezłe - uśmiechnął się. - Przypomnij mi, żebym napisał do producenta i podziękował za włączenie ich do standardowego wyposażenia.

Złość Lorelei przeszła w ślepią furję. Zacisnęła dłonie w pięści.

- Jack, masz mnie natychmiast odwieźć z powrotem!

- Przykro mi, moja śliczna, ale nie mogę tego zrobić. Gdybym cię zawiózł z powrotem do kościoła, to wzięłabyś natychmiast ślub z tym pajacem, Herbertem Van Owenem III.

- Ale ja chcę wyjść za Herberta, a poza tym on nie jest żadnym pajacem! Jack prychnął, nie zmniejszając szybkości.

- A kto inny nosi przy tym upale w środku tygodnia garnitur z krawatem?

- Przynajmniej ma garnitur i krawat - odparowała Lorelei, ale Jack tylko wzruszył ramionami.

- A w dodatku ma dłonie jak kobieta. Kiedy mi podał rękę, miałem wrażenie, jakbym dotykał pupy niemowlaka. Założę się, że on codziennie robi sobie manicure.

- Mnie akurat podoba się sposób ubierania Herberta. I lubię jego ręce.

- Jeśli cię to podnieca, to mogę sobie kupić garnitur i krawat - odciął się Jack. - Ale na tym koniec. Nie pozwolę, żeby wklepywano mi w ręce pachnące kremy.

Lorelei zerknęła na jego dłonie oparte na kierownicy. Nie było w nich niczego miękkiego ani miłego. Były duże i silne. Opalony grzbiet prawej przecinała długa, biała blizna. To były ręce mężczyzny, stwardniałe i pokryte odciskami od ciężkiej fizycznej pracy. Lorelei pamiętała jednak, jak delikatnie te dłonie potrafią wydobywać małą muszelkę z mokrego piasku i czule pieścić kobiece ciało.

To niechciane wspomnienie wywołało rumieniec na jej twarzy. Wróciła myślami do terażniejszości.

- Ta dyskusja jest zupełnie idiotyczna - stwierdziła. - Nic mnie nie obchodzi, w co się ubierasz ani co robisz ze swoimi rękami. Musi natychmiast zawrócić i zawieźć mnie na mój ślub.

- Przykro mi, moja śliczna. Tego właśnie nie mam zamiaru zrobić.

- Dlaczego?

Dopiero teraz zatrzymał na niej wzrok. W jego oczach malowała się ogromna powaga; było to coś niezwykłego u Jacka Storma.

- Dlatego, kochanie, że kiedyś, dawno temu, obiecałaś wyjść za mnie, i postanowiłem dopilnować, żebyś dotrzymała słowa.

Wyraz twarzy Lorelei powiedział mu, że dziewczyna jest w szoku. Pobladła, a następnie otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, lecz natychmiast znów je zamknęła.

- Chyba nie mówisz poważnie - wyjąkała w końcu.

- Zapewniam cię, że tak - odrzekł z przekonaniem, chociaż wcale nie był pewien, czy jego plan się powiedzie. Jednak instynkt, jakaś głęboko ukryta mądrość ciała, która wielokrotnie ratowała mu życie podczas poszukiwania skarbów, mówił mu, że musi spróbować. W chwili gdy znów zobaczył Lorelei, uświadomił sobie, jak bardzo mu jej brakowało. W ciągu życia zdobył i utracił wiele skarbów, ale ona była jedynym, którego utraty żałował.

- To było tak dawno... Byliśmy jeszcze dziećmi.

- Dokładnie dziesięć lat temu, lecz ani w naszym związku, ani w żywionych przez nas uczuciach nie było nic dziecinnego. Oddałaś mi się - przypomniał jej Jack. - Powiedziałaś, że mnie kochasz, i obiecałaś zostać moją żoną.

- To nie ja zapomniałam pojawić się na ślubie!

Jack wyglądał na zawstydzonego.

- Spóźniłem się. Ja...

- Czekałam na ciebie w tym urzędzie sędziego pokoju - mówiła Lorelei załamującym się głosem. - Siedziałam na rozklekotanym krześle w ponurym pomieszczeniu, żona tego sędziego patrzyła na mnie ze współczuciem, a ja na ciebie czekałam. Czekałam cały dzień i całą noc. Kiedy rano wzeszło słońce, wiedziałam, że już nie przyjedziesz.

Cierpienie w jej głosie było nie do zniesienia dla Jacka. Zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i odwrócił się do niej, ona jednak nie chciała na niego spojrzeć.

- Lorelei, posłuchaj. Ja przyjechałem. - Delikatnie obrócił jej głowę, by zobaczyć twarz - twarz, której wspomnienie nie przestawało go prześladować, gdy przedzierał się przez kolumbijską dżunglę, wspinał na peruwiańskie góry, przeszukiwał dno Atlantyku. Wiedział, że któregoś dnia, gdy już znajdzie swój wielki skarb, wróci do Lorelei i wszystko naprawi. Ale lata mijały, a znalezienie wielkiego skarbu wciąż pozostawało tylko marzeniem. Aż pewnego dnia wszedł do księgarni w mieście Mesa i nieoczekiwanie ujrzał tam Lorelei. Natychmiast uświadomił sobie, że jest ona nie tylko miłością jego życia, ale także przynoszącym szczęście talizmanem. Tylko z nią mógł znaleźć swój skarb. Los znów ich zetknął, a Jack Storm nigdy nie kwestionował wyroków losu.

Spojrzał w jej miodowe oczy, które kiedyś widywał wypełnione szczęściem i miłością. Teraz malowały się w nich gniew i cierpienie, a przyczyną tych uczuć był on.

Przez chwilę miał wrażenie, że powinien spełnić jej życzenie i zawieźć ją z powrotem do kościoła, odsunął jednak od siebie tę myśl. Nie. Nie mógł pozwolić, by wyszła za kogoś innego. Obiecał sobie, że wszystko jej wynagrodzi, potrzebował tylko tej jednej wykradzionej szansy.

- Lorelei, ja wtedy przyjechałem. Naprawdę - zapewniał, widząc wyraz jej twarzy. - Przyjechałem następnego popołudnia. Spóźniłem się. Dostałem propozycję popłynięcia na wyprawę nurków. Był taki statek, część floty hiszpańskiej...

Lorelei wyrwała mu się gwałtownie.

- Ty idioto! Ty głupi, niewrażliwy kretynie! Dla ciebie okłamałam rodziców i siostry. Zraniłam ich, mówiąc, że nie chcę zostać z nimi na ferie wiosenne, bo wolę je spędzić z przyjaciółmi. Zrobiłam to, żebyśmy mogli wyjechać i wziąć ślub, tak jak planowaliśmy. A teraz mówisz mi, że kazałeś mi

czekać w tej przeklętej dziurze tylko dlatego, że przyszła ci ochota zabawić się w poszukiwacza skarbów?

- To nie była zabawa, Lorelei. Byłem na łodzi. Nie mogłem się dostać do telefonu, żeby do ciebie zadzwonić.

- Nie potrzebowałeś telefonu. Miałeś po prostu przyjechać!

- Mówię ci przecież, że przyjechałem, tylko się spóźniłem. Kochanie, doskonale wiedziałem, że martwisz się o naszą wspólną przyszłość, o to, z czego będziemy żyli.

- Winisz mnie za to? Poszukiwanie skarbów nie jest najbardziej dochodowym zajęciem na świecie!

Jack pohamował grymas zniechęcenia.

- Chciałem ci sprawić niespodziankę - powiedział pełnym napięcia głosem, po części z gniewem, po części z poczuciem winy. Przed dziesięciu laty nie miał nic, co mógłby jej ofiarować. Co prawda teraz miał niewiele więcej - tylko mapę i przeczucie, które mówiło mu, że znajdzie kopalnię złota i że dzięki tej kopalni będą mogli żyć w szczęściu i dobrobycie. - Zarobiłem wtedy prawie tysiąc dolarów. I...

- Omal mnie nie zabiłeś! Kochałam cię, Jack. Kochałam cię i wierzyłam ci. Ale ciebie obchodził tylko jakiś przeklęty skarb.

Jack zaczął tracić cierpliwość.

- Lorelei, ja...

- Mam już dość tych wspomnień. Nie interesuje mnie dalsza rozmowa na ten temat - ucięła chłodno. - Chcę, żebyś mnie zawiózł do kościoła i pozwolił wyjść za Herberta.

Jack zacisnął zęby. Zapalił silnik, wycofał samochód i zerknął w lusterko wsteczne. Miasta nie było już widać na horyzoncie. Skręcił na wschód, w stronę Ścieżki Apaczów i Zaklętych Gór.

- Jack, kazałam ci zawrócić. Mam zamiar poślubić Herberta.

- Nie zrobisz tego.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jack, ty chyba zwariowałeś! Nie możesz przecież porwać mnie sprzed ołtarza!

- Kochanie, właśnie to zrobiłem.

- Ten numer nie przejdzie. Gdy Herbert zrozumie, co się stało, natychmiast rozpocznie poszukiwania - rzekła Lorelei stanowczo, choć wcale nie była tego taka pewna. Znając Herberta, przypuszczała, że będzie zbyt zajęty uspokajaniem swojej matki, by martwić się o narzeczoną.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to - odpowiedział Jack spokojnie. - Herbert nie wygląda mi na faceta, który kieruje się w życiu emocjami. Gdyby tak było, to nie wyszedłbym cały z tej księgarni, w której się całowaliśmy.

Lorelei zarumieniła się na wspomnienie tego dnia. Podniosła wtedy głowę znad sterty książek i nieoczekiwanie zobaczyła Jacka. Serce na chwilę przestało jej bić. Przez te wszystkie lata, które upłynęły od ich rozstania, wielokrotnie widziała w snach jego twarz, uśmiech i blask niebieskich oczu. Na jawie był jeszcze bardziej pociągający.

Dziesięć minionych lat przydało jego rysom wyrazistości, a ciału męskości; skórę miał jak zwykle bardzo opaloną, a pod ubraniem wyraźnie rysowały się silne mięśnie. Przystojny chłopiec, w którym zakochała się kiedyś, zmienił się w niebezpiecznie atrakcyjnego mężczyznę. Zanim zdążyła pomyśleć, wypowiedziała na głos jego imię.

W mgnieniu oka już był przy niej i trzymał ją w ramionach. Nie miała sił zaprotestować, gdy zbliżał usta do jej twarzy. Niespodziewany pocałunek tak nią wstrząsnął, że nie usłyszała dźwięku dzwonka u drzwi. Dotarł do niej dopiero zdumiony głos Herberta, który zawołał ją po imieniu. Herbert oczywiście zaakceptował wyjaśnienie, że Jack jest dawnym przyjacielem Lorelei, a nawet podał rywalowi rękę.

- Poza tym, nawet gdyby nasz poczciwy Herbert doszedł do wniosku, że potrzebujesz ratunku - ciągnął Jack - myślę, że Desiree wyprowadzi go z błędu.

Lorelei przymrużyła oczy.

- A to w jaki sposób?

- Opowie jemu i twoim rodzicom, że ty i ja byliśmy w sobie szaleńczo zakochani przed dziesięciu laty, ale musieliśmy się rozstać, gdy twoi rodzice się przeprowadzili.

- Dobrze wiesz, że nie dlatego się rozstaliśmy! Jack ciągnął, nie zwracając uwagi na jej słowa:

- A teraz, gdy znów się spotkaliśmy, obydwoje zrozumieliśmy, że uczucie między nami nie wygasło, i zaczęłaś mieć wątpliwości dotyczące małżeństwa z Herbertem,

- Nie miałam żadnych wątpliwości - upierała się Lorelei.

Jack spojrzał na nią z ukosa.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Herbert nigdy nie uwierzy w tę historyjkę. Moi rodzice też nie. Nikt w to nie uwierzy.

- Nawet gdy Desiree wyjaśni im, że byliśmy zaręczeni i chcieliśmy wziąć potajemny ślub, ale przeznaczenie temu zapobiegło?

- Przeznaczenie nie miało tu nic do rzeczy. I nikt nie wiedział o naszych planach. Nie powiedziałam o tym nikomu, nawet siostrze.

- Teraz już wiedzą - odrzekł Jack z tym samym irytującym spokojem. - Opowiedziałem o wszystkim Desiree kilka dni temu, gdy prosiłem ją o pomoc. Była bardzo poruszona. Jak myślisz, dlaczego zdecydowała się wziąć udział w zaplanowanej przeze mnie akcji?

Lorelei przysięgła sobie w duchu, że zamorduje swoją młodszą siostrę, gdy tylko wróci do Mesy.

- Bo Desiree ma za miękkie serce. Znając twoją umiejętność opowiadania wzruszających historyjek, nie wątpię, że potrafisz otumanić wszystkich tym

swoim gadaniem o przeznaczeniu. Desiree nabierze się na każdą romantyczną bzdurę. Ale gdyby wiedziała, co się naprawdę stało, gdybyś jej powiedział, że wtedy zostawiłeś mnie samą i nie przyjechałeś na nasz ślub, nigdy by się nie zgodziła wziąć udziału w tym tak idiotycznym porwaniu.

- Nie zostawiłem cię, Lorelei. Przyjechałem - powtórzył Jack, już twardszym głosem. - Spóźniłem się. Ciebie już nie było. To był z mojej strony błąd w osądzie sytuacji i wierz mi, że nigdy nie przestałem go żałować. Wyjaśniłbym ci wszystko, gdybyś nie była taka uparta i zechciała porozmawiać ze mną przez telefon,

- Nie interesowały mnie twoje wyjaśnienia. Gdybym rzeczywiście coś dla ciebie znaczyła, to przyjechałbyś na nasz ślub.

- Próbowałem...

- Mogłeś się zdobyć przynajmniej na to, żeby wyjaśnić mi wszystko osobiście.

- Czy myślisz, że nie zrobiłbym tego, gdybym mógł? Ale nie mogłem, w każdym razie nie w czasie owego rejsu. Łódź przybijała do lądu tylko na kilka godzin i znów odpływała tego samego wieczoru. Chciałem ci o tym powiedzieć i umówić się na spotkanie za kilka dni, ale kiedy wróciłem, było już za późno. Twoja rodzina spakowała manatki i przeniosła się gdzieś na Zachodnie Wybrzeże. - Jack przesunął ręką po włosach. - Omal nie zwariowałem, gdy się przekonałem, że wyjechałaś, Chciałem ci wszystko wytłumaczyć, spróbować...

Lorelei odwróciła wzrok, ignorując błaganie brzmiące w jego głosie.

- Jack, żadne wyjaśnienia nie były mi potrzebne. Twoja nieobecność była aż nadto znacząca.

- Niech to diabli, Lorelei. Posłuchaj mnie...

Lorelei gwałtownie odwróciła się,

- Daj spokój, Jack! Twoje powody, jakiegokolwiek były, teraz już są nieistotne. Może przekonałeś Desiree tą historyjką o rozdzielonych kochankach,

ale ją łatwo ogłupić, mnie nie. I Herberta też nie. Nie uwierzy w ani jedno słowo.

- Nie bądź taka pewna, kochanie. Mężczyźni zdolni są do różnych rzeczy, gdy w grę wchodzi ich duma. Dobrze o tym wiem. Gdybym to ja był na miejscu Herberta, a ty zniknęłabyś w dniu ślubu i w dodatku usłyszałbym, że kiedyś byłaś zaręczona z mężczyzną, z którym odjechałaś, a nawet chciałaś potajemnie za niego wyjść za mąż, to zacząłbym się zastanawiać, dlaczego tak się upierałaś przy dwuletnim narzeczeństwie. Zastanowiłbym się także, dlaczego to ja musiałem nalegać na ślub, choć kiedyś byłaś gotowa natychmiast wyjść za kogoś innego. Sama powiedz, czy to wszystko nie sprawia wrażenia, jakbyś za bardzo nie paliła się do tego małżeństwa?

Lorelei wpadła w furję, gdy usłyszała, jak wiele jej sekretów Desiree wyjawiała Jackowi.

- Jest pewna różnica między tobą a Herbertem - odrzekła dobitnie. - Ty masz podejrzliwą naturę, a on nie. Wie, że go kocham, i ma do mnie zaufanie.

- W takim razie jest jeszcze głupszy, niż przypuszczałem.

- Herbert nie jest wcale głupi i na pewno nie uwierzy w ani jedno słowo z historyjki opowiedzianej mu przez Desiree.

- Zapomniałaś chyba, jak dobrą aktorką jest twoja siostra.

Lorelei musiała przyznać mu rację. Desiree miała talent aktorski we krwi. Jako jedyna z trzech sióstr odziedziczyła zdolności po ojcu.

- Zobaczyłem ją niedawno w małym teatrzyku w Nowym Orleanie i poszedłem za kulisy, żeby z nią porozmawiać - ciągnął Jack. - Może coś ci o tym wspominała?

Owszem, Desiree opowiedziała siostrze o spotkaniu z Jackiem, ale Lorelei nie chciała słuchać jej relacji. Denerwował ją sam dźwięk jego imienia.

- Była znakomita w swojej roli, a przypuszczam, że w rozmowie z Herbertem okaże się jeszcze lepsza. Zresztą może powiedzieć zupełnie szczerze,

że ostatnio nie byłaś sobą. Z pewnością nie sprawiałaś wrażenia szczęśliwej narzeczonej.

- Jestem szczęśliwa. W każdym razie byłam, dopóki nie wyciąłeś mi tego numeru. I uwierz mi wreszcie, że naprawdę pragnęłam ślubu z Herbertem. Nadal nie mogę się doczekać chwili, gdy wreszcie za niego wyjdę, a zrobię to, gdy tylko zawieszysz mnie z powrotem do Mesy.

- Wierz mi, Lorelei, że gdy cię tam zawiozę, to nie po to, żebyś wychodziła za Herberta.

Lorelei spoglądała w okno samochodu, zastanawiając się nad sytuacją.

- Moi rodzice i tak będą się martwić, niezależnie od tego, co powie im Desiree.

- Zdaje się, że twoją matkę najbardziej martwił twój brak entuzjazmu przed ślubem.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

- Czy nie wspominałem ci, że kilka dni temu jadłem śniadanie z twoimi rodzicami?

- Nie - odrzekła zdumiona Lorelei. Rodzice również nic jej o tym nie powiedzieli.

Jack wzruszył ramionami.

- Spotkałem ich w restauracji hotelowej, a ponieważ jesteśmy starymi znajomymi, pomyślałem, że powinienem ich zaprosić do stolika. To naprawdę bardzo mili ludzie. I oczywiście zaprosili mnie na twój ślub.

Oczywiście, pomyślała Lorelei. To jak najbardziej leżało w ich naturze. Rodzice Lorelei byli niezwykle otwarci i zawsze chętnie dzielili się wszystkim z każdym napotkanym człowiekiem.

- Jestem pewna, że nie zrobiliby tego, gdyby znali twoje zamiary.

Jack zaczerwienił się nieco.

- W tych okolicznościach nie mogłem ich uprzedzić o swoich planach. Mam nadzieję, że to rozumieją. Ale z drugiej strony nie sądzę, by byli bardzo

zaskoczeni, przynajmniej twoja matka. Mówiła, że po przeprowadzce na Zachodnie Wybrzeże całymi dniami snułaś się z kąta w kąt. Podejrzewała, że chodziło o mnie. Nigdy nie powiedziałaś jej niczego wyraźnie, ale przypuszczała, iż byliśmy w sobie zakochani i że za mną tęskniłaś. - Zerknął na nią przelotnie. - A tęskniłaś za mną, Lorelei?

Wyprostowała się i obrzuciła Jacka ponurym spojrzeniem.

- Już ci mówiłam, że byłam jeszcze dzieckiem. To była tylko szczenięca miłość.

- Nie oszukuj się, Lorelei. Nie byliśmy już dziećmi i to było prawdziwe uczucie. Kochałaś mnie sercem i ciałem dojrzałej kobiety. Ja ciebie też. - Zamilkł na chwilę i spojrzał na Lorelei z powagą. - Nadal cię Kocham.

Lorelei poczuła, że serce przestaje jej bić. Przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Jack...

Przerwał jej klakson nadjeżdżającego samochodu. Jack zaklął i wrócił na właściwy pas. Po chwili zwolnił i zjechał do zatoczki. Opony zazgrzytały o żwir. Jack odwrócił się do Lorelei.

- Proszę o jeszcze jedną szansę.

Słyszała błaganie w jego głosie, widziała je w oczach Jacka, ale postanowiła nie ustępować. To tylko czarujący uwodziciel, powtarzała sobie, mnąc niespokojnie w dłoni atlasowy tren.

- Szansę na co? Na to, żeby znowu mnie skrzywdzić?

- Chciałbym cię przekonać, że to ja jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie, a nie Herbert.

- Mylisz się. Jestem zakochana w nim, a nie w tobie.

W błękitnych oczach Jacka pojawił się niepokojący błysk. Zanim Lorelei zdążyła się poruszyć, odpiął swój pas i pochylił się nad nią.

- Jack, nie.

- Tak - powiedział, ujmując jej twarz w dłonie. - Muszę to zrobić. Muszę.

Pochylił głowę. Jego usta niezmiernie powoli zbliżały się do jej ust i dotknęły ich leciutko, prowokująco, podczas gdy język obrysowywał kontury warg. Lorelei poczuła dreszcz podniecenia.

Jack podniósł głowę i wpatrzył się w jej oczy.

- Moja słodka Lorelei - szepnął. - Kocham cię.

Znów pochylił głowę nad jej twarzą. Lorelei przymknęła oczy i natychmiast uświadomiła sobie, że to był błąd; wrażenia jeszcze się spotęgowały. Pocałunek stawał się coraz głębszy i dłuższy. Dłoń Jacka zaczęła błądzić po jej ramieniu, szyi, piersi i talii. Lorelei wstrzymała oddech.

Jack oderwał usta od jej warg i ujął twarz Lorelei w dłoń.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem. Gdy pomyślę, jak niewiele brakowało, bym cię stracił na zawsze... - rzekł drżącym głosem, przyciągając ją do siebie. Lorelei ukryła twarz na jego piersi. Poczowała zapach górskiego powietrza i potu; zapach Jacka. Tak dobrze było znów znaleźć się w ramionach tego mężczyzny i słuchać równego bicia jego serca.

- Lorelei, jestem pewien, że los nas sobie przeznaczył. To on sprawił, że wpadła mi w ręce mapa, po to, bym tu przyjechał i znów cię spotkał.

Lorelei zamrugała powiekami, usiłując zebrać myśli.

- Jaka mapa?

- Miejsca, gdzie mieści się kopalnia złota.

- Kopalnia złota? - powtórzyła bezmyślnie.

- Tak. Gdybym nie wygrał tej mapy w karty, to nie przyjechałbym do Arizony i zanim bym cię odszukał, byłoby za późno. Byłabyś już żoną Herberta.

Lorelei zamarła w bezruchu. A więc powodem pojawienia się Jacka w tej okolicy była kopalnia złota? Och Boże, jakaż okazała się głupia. Wyrwała się z jego ramion.

- Co się stało? - zapytał Jack niespokojnie.

- Jestem głupia. Nie powinnam cię w ogóle słuchać. Sama nie wiem, co sobie wcześniej myślałam. Cokolwiek między nami było... to już należy do

przeszłości. Nie można cofnąć czasu, Jack. W każdym razie ja tego nie chcę. - Lorelei nie miała ochoty znów przeżywać chwil niepokoju i udręki, których nie szczęścił jej Jack. Zbyt wiele wiązało się z tym wzlotów i upadków, zbyt wiele niepewności. Zebrała siły i dodała mocnym głosem: - Nie jestem już tą ślepo zakochaną dziewczyną, jaką znałeś kiedyś. Tej Lorelei Mason już nie ma. Mam nowe życie, w którym jestem szczęśliwa, i nie ma w nim miejsca dla ciebie.

W błękitnych oczach Jacka pojawił się gniew. Mocno zacisnął usta.

- Mylisz się - odrzekł. - Ta Lorelei Mason, którą znałem i kochałem, nadal istnieje. Może zagrzebałaś ją głęboko w swoim wnętrzu, ale ona tam jest. Pozbyłem się wszelkich wątpliwości przed chwilą, gdy cię całowałem. Jesteśmy dla siebie stworzeni, Lorelei, i mam zamiar ci to udowodnić.

- Jak? - zapytała.

Jack wrzucił pierwszy bieg i wyprowadził samochód na jezdnię.

- Zrobię to, co powinienem był zrobić dziesięć lat temu i co zrobiłbym, gdybyśmy wzięli wtedy ślub. Zabiorę cię ze sobą.

Lorelei poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej na wspomnienie planów, które niegdyś snuli. Jack zaraził ją wtedy swoim zamiłowaniem do przygód. Marzył, że razem będą podróżowali po świecie, szukając zaginionych skarbów. Były to głupie rojenia, marzenia nastolatki, i wkrótce potem Lorelei musiała o nich zapomnieć.

Wyjrzała przez okno i zauważyła, że krajobraz wokół nich zaczął się zmieniać. Po obu stronach drogi pojawiły się niskie, skaliste wzgórza. Wiedziała, że jadą na wschód, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, co to właściwie oznacza. Między wzgórzami rozpościerały się strome kaniony rzek, a na horyzoncie, niczym świątynia jakiegoś starożytnego boga, wyrastały poszarpane zręby Zaklętych Gór.

- Jack, chyba nie mówisz poważnie - wyjąkała ze zdumieniem.

- Ależ tak, kochanie. Powiedziałem ci kiedyś, że pod tą maską przyzwoitej, porządnej dziewczyny kryje się poszukiwaczka przygód, która

czeka tylko na okazję, by wyrwać się na wolność. Jestem pewien, że nadal ona jest w tobie, może nieco głębiej ukryta, ale wciąż istnieje. I mam szczerzy zamiar ją odnaleźć.

- Ale przecież...

- Kiedyś ci obiecałem, że jeśli za mnie wyjdiesz, to pewnego dnia zostanę bogaty i złożę ci u stóp złoto. Mam zamiar dotrzymać słowa.

- A jak chcesz to zrobić? Obrabujesz bank?

- Zrobię coś lepszego. Znajdę kopalnię starego Holendra.

- Chyba zwariowałeś.

- A ty mi pomożesz.

- Naprawdę postradałeś rozum.

Jack ciągnął jednak, zupełnie nie poruszony tym, co usłyszał:

- A gdy już znajdziemy tę kopalnię, moja słodka syrenko, to dopilnuję, żebyś ty również dotrzymała słowa i wyszła za mnie.

- Żartujesz.

- Dobrze wiesz, że nigdy nie żartuję, jeśli chodzi o poszukiwanie skarbów.

Rzeczywiście. Była to chyba jedyna rzecz, którą Jack traktował poważnie. Gdy miał dziesięć lat, ojciec pozwolił mu nurkować i przeszukiwać zatopiony hiszpański galeon. Wtedy właśnie Jack zrozumiał, czym chce się w życiu zajmować - poszukiwaniem skarbów. Czuł przez skórę, że w tym zatopionym wraku coś jest, ale ojciec potrząsnął głową i gestem nakazał mu wynurzyć się na powierzchnię w ślad za innymi nurkami.

Jack jednak nie posłuchał. Zaufał swemu instynktowi i opuścił się niżej przy rufie statku. Okazało się, że przecucie go nie myliło. Gdy wynurzył się na powierzchnię, w ręku trzymał garść złotych monet. Dobrze pamiętał wyraz twarzy ojca; malowała się na niej duma zmieszana z troską.

- Masz dzielnego chłopaka, Jamie - rzekł stary wyga o imieniu Murphy, poklepując ojca po plecach. - Zawstydził nas wszystkich.

- Ano tak. Ten chłopak nie wie, co to strach. Martwię się, że gdy dorośnie, zechce zostać poszukiwaczem skarbów.

Murphy zaśmiał się tylko.

- A czego się spodziewasz? Przecież to twoja krew, nie?

- Racja. Ale to mój jedyny syn. Obiecałem jego matce, że dopilnuję, żeby chłopak miał lepsze życie niż ja. Nie chcę, żeby je zmarnował, szukając zaginionych skarbów.

Jack musiał przyznać, że ojciec starał się dotrzymać słowa. Zmusił go do chodzenia do szkoły, a nawet nalegał, by wstąpił do college'u. Ale gdy Jamie Storm zginął, nurkując, świat Jacka rozsypał się na drobne kawałki. Rzucił college, bezskutecznie starał się przyłączyć do grupy poszukiwaczy skarbów i jakoś tak się złożyło, że w końcu wylądował w marynarce. W sześć i pół roku po zakończeniu służby nadal dryfował po mieliźnie życia - dopóki nie poznał Lorelei. Gdy po raz pierwszy zobaczył ją na plaży, poczuł taki sam przypływ podniecenia jak tamtego dnia w dzieciństwie, kiedy znalazł złote monety. Ten sam instynkt powiedział mu, że Lorelei także jest skarbem - skarbem przeznaczonym specjalnie dla niego.

To spotkanie stało się punktem zwrotnym w jego życiu. Po raz pierwszy od śmierci ojca znów poczuł, że świat jest piękny. Szczęście zaczęło mu dopisywać. Dostał się do ekipy poszukiwaczy skarbów i od razu udało mu się coś znaleźć.

Ale potem utracił Lorelei i od tej chwili już nic go nie cieszyło, aż do dnia, gdy wygrał w karty mapę określającą położenie kopalni złota i los znów postawił Lorelei na jego drodze. Teraz, gdy ją odnalazł, nie miał zamiaru pozwolić jej odejść.

- Jack, czy ty mnie słuchasz? Wrócił myślami do obecnej chwili.

- Przepraszam. Co mówiłaś?

- Zapytałam, dlaczego to robisz? Co masz nadzieję osiągnąć, ciągnąc mnie w góry na poszukiwanie kopalni złota, która prawdopodobnie w ogóle nie istnieje?

- Owszem, istnieje. Mam mapę.

- A więc sam jedź jej szukać. Nie jestem ci do niczego potrzebna.

- I tu się właśnie mylisz. Jesteś mi potrzebna.

- Przecież po tylu latach dzielących nas od dnia rozstania zmieniliśmy się bardzo.

- Znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że zmarnujesz się, żyjąc w jakiejś małej miejscinie jako żona miejscowego bankowca.

- Herbert i ja kochamy się.

- Aha. I dlatego, kiedy całował cię na pożegnanie w tej księgarni, pojawiło się między wami mniej więcej tyle napięcia, co w zepsutym gniazdku.

Lorelei zarumieniła się i w jej brązowych oczach zabłyśły iskiereki gniewu.

- Byliśmy w miejscu publicznym, A poza tym małżeństwo nie polega tylko na seksie. Herbert i ja szanujemy się, mamy podobne cele i zainteresowania,

- Moim zdaniem bardziej to przypomina kontrakt niż małżeństwo.

- Nikt cię nie pytał o zdanie - uniosła się Lorelei. - Ta rozmowa nie ma żadnego sensu. Cała ta sytuacja jest bezsensowna. Jesteś zupełnie pomyłony! Jack wzruszył ramionami.

- Może i tak. Ale wiem, co mówi mi instynkt. A mówi mi to samo, co wtedy, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy dziesięć lat temu.

- To znaczy: co? Zaraz, zaraz - przerwała mu Lorelei, podnosząc rękę. - Niech zgadnę. Uważasz, że to przeznaczenie, tak? Że ty i ja jesteśmy skazani na siebie.

- Tak.

- To samo mówiłeś kiedyś. Ale ja już nie jestem naiwną osiemnastolatką, Jack. Mam dwadzieścia osiem lat i nie kupuję tego. Ani twojego planu odnalezienia skarbu.

- Możesz się ze mnie śmiać, jeśli chcesz, ale to niczego nie zmieni. Wiem, że znajdziemy tę kopalnię. Tak samo, jak wiem, że to ja powinienem zostać twoim mężem, a nie Herbert. - Jack wrzucił trzeci bieg i samochód zaczął się wspinać pod górę. - I obiecuję ci, że zanim wyjedziemy z tych gór, ty także będziesz tego pewna.

Skręcił w lewo, modląc się w duchu, by stało się tak, jak powiedział.

Zjechali z głównej drogi i znaleźli się w opustoszałym miasteczku, które wyglądało jak dekoracja do westernu. Lorelei zaczęła uważniej patrzeć przez okno.

- O rany - mruknęła, przerywając panujące od dwudziestu minut milczenie. - Co to takiego? Następna wymarła osada poszukiwaczy złota?

Była zafascynowana widokiem Złotego Pola, przez które przejeżdżali wcześniej, ale za żadne skarby nie przyznałaby się do tego przed Jackiem i nie zapytała o nic.

- To miasteczko nazywa się Tortilla Flats. Mieszka tu sześć osób. Na początku wieku była to baza robotników, którzy pracowali przy Salt River. Teraz to przystanek dla turystów podążających Ścieżką Apaczów.

Lorelei przyglądała się grupie dziwnych budynków, które sprawiały wrażenie, jakby opierały się jeden na drugim. Choć mieszkała w Arizonie już od czterech lat, nigdy nie była w żadnym z tych miasteczek. Wydawało się jednak, że Jack wie o nich wszystko. Stojąca obok budynków tablica reklamowa dumnie obwieszczała, że sam Jacob Waltz zachwycał się tutejszą domową kuchnią.

- Ta plansza chyba wyjaśnia, skąd wiesz tyle o tym miasteczku - powiedziała Lorelei. - Pewnie trafiłeś tu, szukając nie istniejącej kopalni złota starego Holendra.

- Ta kopalnia istnieje - odrzekł Jack spokojnie. - A jeśli chodzi o tę planszę, to niestety, w czasach gdy stary Jacob szukał złota w górach, to miasteczko jeszcze w ogóle nie istniało. Ale jedzenie jest dobre. Podają tu znakomite hamburgery i chili.

Na samą wzmiankę o jedzeniu Lorelei zaburczało w brzuchu. Od rana nie jadła nic oprócz jednej grzanki z masłem na śniadanie, a teraz była już szósta po południu.

- Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu - rzekł Jack. - Pomyślałem, że moglibyśmy się tutaj zatrzymać i coś zjeść.

- Wolalabym jeść to, co zamówiłam na przyjęcie weselne.

- Przykro mi, ale nie masz wyjścia - mruknął Jack, zatrzymując samochód przed restauracją przypominającą saloony z westernów. - To ostatnia okazja, żeby zjeść coś gotowanego. A poza tym pewnie chciałabyś się przebrać. Kolejny etap naszej podróży będzie o wiele bardziej męczący niż dotychczasowe.

- To bardzo miło z twojej strony, że tak się troszczysz o moją wygodę - odparła Lorelei z sarkazmem. - Tylko że ja powinnam być teraz na swoim weselu, a nie z tobą w górach, i nie mam się w co przebrać przed dalszą podróżą.

- Desiree spakowała ci niektóre rzeczy - zaśmiał się Jack. - W torbie za siedzeniem znajdziesz dżinsy, koszulki i buty do wspinaczki.

Lorelei obiecała sobie w duchu, że za to także policzy się z siostrą. Jack pomógł jej wyjść z samochodu. Tren sukni ciągnął się za nią po ulicy, wzbijając tumany rudawego kurzu. Jack wyjął torbę z bagażnika i wskazał na drzwi restauracji.

- Możesz od razu się przebrać, a ja tymczasem zamówię coś do jedzenia.

- Czy naprawdę sądzisz, że nikt nie zauważy, że mam na sobie ślubną sukienkę? - zapytała Lorelei z irytacją.

- Trudno byłoby tego nie zauważyć. Jesteś bardzo piękną panną młodą.

- Nie o to mi chodzi - warknęła, powstrzymując się z trudem, by nie tupnąć nogą.

- Wiem, o co ci chodzi. Ale już ci mówiłem, że w tej miejscowości mieszka tylko sześć osób. Cała reszta to turyści i robotnicy. W ciągu ostatnich tygodni zaprzyjaźniłem się z tutejszymi mieszkańcami, włącznie z właścicielami restauracji. Nie będą zdziwieni, wręcz przeciwnie, spodziewają się nas.

- Jak to?

Jack wzruszył ramionami.

- Wspomniałem im, iż się żenię i że spędzimy miesiąc miodowy w górach, a po drodze zatrzymamy się u nich.

Lorelei stanęła jak wryta pośrodku ulicy.

- I uwierzyli ci?

- Pewnie - uśmiechnął się. - A dlaczego nie mieliby mi uwierzyć?

- A jeśli im powiem, że mnie porwałeś i przywiozłeś tutaj wbrew mojej woli?

- Śmiało, zrób to, ale nie spodziewaj się, że ci uwierzą. Uprzedziłem właściciela, że lubisz głupie kawały, a poza tym jego żona uważa mnie za znakomitego kandydata na męża.

Lorelei bez słowa przekroczyła próg restauracji i gdy jej oczy przywykły do półmroku, rozejrzała się dokoła. Zobaczyła drewniane stoły i krzesła obite skórą w stylu dawnego Dzikiego Zachodu.

- Jack! - zawołała ciemnowłosa kobieta stojąca za barem. - A to na pewno jest twoja żona.

Jack pocałował kobietę w policzek.

- Witaj, Isabel. Wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle. Na pewno nie masz ochoty rzucić Alberta i pojechać ze mną?

Kobieta zarumieniła się i poczęstowała Jacka kuksańcem.

- Zachowuj się przyzwoicie, *Bandito*, i przedstaw mnie swojej żonie. Miałaś rację, rzeczywiście jest piękna.

- Isabel, to jest Lorelei. Lorelei, to jest Isabel.

- Witaj w Tortilla Flats, Lorelei - uśmiechnęła się kobieta i uściskała zdezorientowaną Lorelei. - Dostał ci się całkiem niezły *hombre*. Ale przypuszczam, że sama o tym wiesz.

- Ja...

- Zamówienie gotowe - zawołał ciemnooki mężczyzna o posiwiałych włosach, wyłaniając się z kuchni. - Jack, *mi amigo!* A więc jednak udało ci się przekonać ją do przyjazdu w góry.

- *Bueno*, Alberto. Tak, przekonałem ją - odrzekł Jack.

- W takim razie przygotuję coś specjalnego dla ciebie i twojej żony. Isabel, zaprowadź Jacka i jego panią do stolika, a potem przyjdź pomóc Marii.

Isabel wymruczała coś po hiszpańsku, wznosząc oczy do nieba.

- Jack, usiądźcie z Lorelei tam, z dala od innych gości. Zaraz do was przyjdę, ale najpierw muszę pomóc Marii, zanim te diablęta zdemolują całą restaurację.

Lorelei spojrzała na drugą stronę sali. Siedziało tam małżeństwo z pięciorgiem rozbrykanych i hałasujących dzieci. Na widok tac z jedzeniem, które niosła im Isabel, Lorelei poczuła, że ślinka napływa jej do ust.

- Toaleta jest w korytarzu. Pierwsze drzwi na lewo - poinformował ją Jack, podając walizkę z ubraniami. - Z góry cię uprzedzam, że tu nie ma tylnego wyjścia. Jeśli nie wrócisz za piętnaście minut, sam po ciebie pójde.

Lorelei wyrwała mu walizkę z ręki i zniknęła w ciemnym korytarzyku. Znalazła drzwi z napisem „Dla pań”, zatrzymała się na chwilę i spojrzała przez ramię. Jack odprowadzał ją wzrokiem, stojąc w progu sali. Uniosła dumnie głowę i weszła do łazienki.

Pomieszczenie było niewielkie, lecz czyste. Większość miejsca zajmowały dwie kabiny. W kącie znajdowała się umywalka. Nad nią wisiało małe kwadratowe lustro. Na jednej ze ścian zawieszono półkę, szeroką najwyżej na dwadzieścia pięć centymetrów, a o metr nad nią znajdowało się

wąskie okno. Lorelei oszacowała je wzrokiem i w duchu pozazdrościła starszej siostrze, Clei, która miała najwęższe biodra w rodzinie. Była jednak szansa, że bez ślubnej sukni uda jej się tamtędy prześlizgnąć. Musiała się śpieszyć.

Położyła walizkę na półce i szybko wyciągnęła z niej dżinsowe szorty, koszulkę oraz buty do wspinaczki. Zsunęła z nóg kremowe szpilki, odpięła tren od sukni, zwinęła go i wrzuciła na wierzch walizki, po czym przystąpiła do rozpinania rzędu malutkich guziczków na plecach.

W kilka minut później ramiona miała już obolałe z wysiłku, a udało jej się rozpiąć zaledwie trzy guziki. Zdesperowana, szarpnęła sukienkę, ale nic to nie dało. Guziki trzymały się zadziwiająco mocno. Och, Boże, pomyślała z rozpaczą. Co mnie podkusiło, żeby kupować tak idiotyczną suknię?

Spojrzała na zegarek. Minęło już dwanaście minut. Znów napięła ramiona z całych sił i w tej samej chwili usłyszała stukanie do drzwi.

- Lorelei?
- Idź stąd - zawołała.
- Co ci zabiera tyle czasu?
- Nic. Zaraz przyjdę.

Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz spróbowała rozerwać materiał. Nic z tego. Te guziki przyszyto chyba stalową nicią.

- Potrzebujesz pomocy?

Drgnęła nerwowo, słysząc głos Jacka tuż za plecami. W lustrze pojawiła się jego twarz. Malował się na niej dziwny wyraz.

- Nie mogę sobie poradzić z tymi idiotycznymi guzikami - przyznała.
- Chcesz, żebym ci pomógł? - zapytał Jack z uśmiechem. - W tym tempie nie zdążysz się przebrać do jutra.

Zbyt zirytowana, by móc cokolwiek powiedzieć, skinęła tylko głową. Jack przysunął się bliżej i zaczął odpinać guziki. Jeden. Drugi. Trzeci. Czwarty. Czuli dotyk jego palców na swojej skórze. Przymknęła oczy, przygryzając jednocześnie wargi.

- Zawsze miałaś bardzo piękną skórę.

- I piegi - wymamrotała.

- Tylko kilka.

Odpiął jeszcze dwa guziki i czubkami palców pogładził jej plecy.

- Jakie miękkie. Jak jedwab. Czasami podczas rejsu leżałem w nocy na pokładzie statku, patrzyłem na niebo i przypominałem sobie, jaka piękna i miękka była twoja skóra.

Lorelei usłyszała w jego głosie tęsknotę. Spojrzała na jego twarz odbijającą się w lustrze; on z kolei patrzył na nią. Ostatnie guziki zostały rozpięte i sukienka osunęła się jej z ramion aż na biodra, pozostawiając ją tylko w biustonoszu bez ramiączek.

Oddech Lorelei stał się urywany. Nie była w stanie się poruszyć.

- Lorelei - szepnął Jack i pochylił głowę nad jej ramieniem.

- Chodź, Saro, mamusia umyje ci... - usłyszeli czyjś głos dobiegający z korytarza.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła matka pięciorga dzieci, trzymając jedno z nich za rękę. Zamarła na chwilę, po czym wycofała się pośpiesznie.

- Ojej. Przepraszam. Myślałam, że to damska toaleta.

- Owszem - odezwał się Jack, obracając się na pięcie. - Pomagałem tylko żonie zdjąć sukienkę. Zaraz stąd wyjdziemy. Poczekam na ciebie przy stoliku, kochanie - dodał i zniknął.

Lorelei weszła do jednej z kabin, unikając wzroku wielodzietnej matki. Zdjęła pończochy, pośpiesznie przebrała się w szorty oraz koszulkę i poczekała, aż kobieta wyjdzie z toalety. Gdy została sama, odsunęła walizkę na bok i wspięła się na półkę. Udało jej się otworzyć okno, choć złamała przy tym paznokiec. Niebo już ciemniało. Do łazienki wdarła się fala upału.

Po plecach Lorelei spływała strużka potu. Z głośno dudniącym sercem przełożyła przez okno nogi, a potem precyzyjnie biodra. Udało się. Wzięła głęboki oddech, zeskoczyła na ziemię i wylądowała w pozycji siedzącej.

Była wolna.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Jack, wychodząc z cienia i stając tuż przed nią z ponurą miną.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lorelei odepchnęła rękę Jacka, podniosła się o własnych siłach i otrzepała szorty.

- Skąd wiedziałeś, że zamierzam uciec? - zapytała.

- Ja też zauważyłem to okno. Nietrudno było się domyślić, że spróbujesz tamtędy wyjść. - Zamilkł na chwilę. - A ponieważ nie masz przy sobie ani pieniędzy, ani kart kredytowych, to co właściwie zamierzałaś zrobić? Wracać pieszo?

- Owszem, gdybym musiała - przyznała ponuro Lorelei. - Miałam jednak nadzieję, że ktoś mnie podwiezie.

Rozbawienie Jacka minęło w jednej chwili.

- Ty kretynko! Nie wiesz, jakie to niebezpieczne? A gdyby coś ci się stało? Mogłabyś zbłądzić w górach albo trafić na jakiegoś wariata, który Bóg wie co mógłby z tobą zrobić! Musisz mi obiecać, że więcej nie będziesz próbowała zrobić niczego równie głupiego!

Lorelei milczała. Jack znów wyciągnął do niej rękę.

- Mówię poważnie, Lorelei. Obiecuj mi, że nie będziesz więcej próbowała uciekać.

- Niczego ci nie obiecuję - odparła. - Gdy tylko nadarzy się jakaś okazja, ucieknę i wrócę do Mesy.

Jack westchnął ciężko.

- W takim razie muszę uważać, żeby ci nie dać następnej szansy.

Objął ją ramieniem i poprowadził w stronę parkingu.

- Nie będziemy niczego jedli? - zdziwiła się Lorelei.

- Skoro próbowałaś zniknąć, to znaczy, że nie jesteś głodna. A może się mylę?

- Dobrze wiesz, że umieram z głodu. Nigdzie nie pojedę, dopóki czegoś nie zjem.

Na widok jej rozczarowania Jack omal nie roześmiał się głośno.

- Nie martw się, kochanie. Nakarmię cię, ale musisz poczekać jakieś dwadzieścia minut.

- A to dlaczego? - zapytała zaczepnie.

- Bo nie lubię jeździć po tych drogach nocą, a dzisiaj nie dotarliśmy tak daleko, jak planowałem. Szkoda, że nie zaplanowałaś ślubu przed południem.

- Wierz mi, gdybym знаła twoje plany, to urządziłabym ślub o północy - odparowała.

- Wcale w to nie wątpię. Ale teraz wsiadaj do samochodu, bo jak nie, to sam cię do niego wciągnę.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Lorelei, wdrapując się na fotel.

- Niedaleko. Zatrzymamy się na noc w domku znajdującym się o jakieś piętnaście kilometrów stąd. Mam nadzieję tam dotrzeć, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

- Kiedy zdążyłeś wynająć domek?

- Nie wynająłem go. To kryjówka Isabel i Alberta. Uciekają tam, gdy chcą się na chwilę stąd wyrwać. Zaproponowali mi, byśmy spędzili w nim noc poślubną.

- To nie jest noc poślubna. Nie jesteśmy małżeństwem.

- Gotów jestem to zmienić, kiedy tylko zechcesz.

- A co z moją walizką? - zapytała Lorelei, ignorując jego słowa. - I z suknią ślubną? Zostawiłam wszystko w łazience.

- Wiem o tym - odrzekł Jack, siadając za kierownicą.

- Ta sukienka kosztowała dużo pieniędzy i chcę ją mieć.

- Po co ci ona?

- Bo jeszcze mi się przyda na ślub z Herbertem, gdy wrócę do Mesy.

Jack zazgrzytał zębami.

- Jeśli jeszcze kiedyś włożysz tę sukienkę - powiedział powoli i dobitnie - to nie po to, by wyjść za Herberta.

- Jack, chcę odzyskać walizkę i sukienkę. Jack zapalił silnik.

- Wszystko jest w bagażniku. Syn Alberta i Isabel przyniósł je do samochodu razem z naszą kolacją.

Ruszył, wzbijając tuman kurzu. Lorelei przez chwilę milczała, zastanawiając się nad sytuacją.

- Co im powiedziałaś? To znaczy: Isabel i Albertowi. Jak wyjaśniłeś to, że nie wróciłam na kolację?

- Mówiłem ci już, że ci ludzie uważają cię za osobę, która lubi robić głupie kawały. Uznali, że to jeden z nich. A poza tym powiedziałem im, że nie jesteś głodna, bo zbyt cię podnieca perspektywa nocy poślubnej.

Lorelei rzuciła mu mordercze spojrzenie, po czym skrzyżowała ramiona na piersiach i w milczeniu patrzyła przed siebie. Drgnęła dopiero wtedy, gdy furgonetka podskoczyła na wyrwie w jezdni.

- Miałaś rację. Ta droga rzeczywiście jest nierówna.

- To jeszcze nic. Dopiero jutro zaczną się prawdziwe wyboje.

- Gorsze niż teraz? - zdumiała się Lorelei, gdy samochód podskoczył na kolejnej nierówności.

Niebo coraz bardziej ciemniało.

- Domek jest gdzieś tutaj, po prawej - odezwał się Jack. - Alberto mówił, że już z daleka powinienem zobaczyć komin.

- Chyba to tu - zawołała Lorelei, wskazując na pobocze. Za wysokim drzewem wznosił się rdzawy, kamienny słup.

Opony samochodu zazgrzytały na żwirze i po chwili Jack zatrzymał się przed niewielkim, wiejskim domkiem.

- Poczekaj tu. Otworzę drzwi i włączę prądnicę.

Na niebie pojawił się księżyc. Na horyzoncie majaczyły złowieszczo Zakłète Góry. Naraz Lorelei poczuła się bardzo samotna. Wysiadła z samochodu, by rozprostować nogi. Coś zaszeleściło w krzakach o metr od niej. Drgnęła nerwowo i poczuła, że jej serce zaczyna bić szybciej. Wystraszona, postanowiła wrócić do samochodu, gdy nagle nocną ciszę przeszył przenikliwy zwierzęcy krzyk.

- Jack! - wrzasnęła Lorelei w panice, biegnąc w stronę domku. - Jack, gdzie jesteś?

Znów coś zaszeleściło, tym razem tuż za nią; cienie poruszyły się i czyjeś ramiona pochwyciły ją w pól. Lorelei wrzasnęła, ile sił w płucach.

- Uspokój się, Lorelei. To ja. Co ci się stało? Znieruchomiła.

- Jack? - zapytała z niedowierzaniem.

- Co ci się stało? - powtórzył, gładząc ją delikatnie po plecach.

- Coś... coś się ruszało w krzakach.

- Pewnie jaszczurka.

- A potem coś okropnie zawyło.

- To tylko kojot.

- Kojot? - powtórzyła Lorelei ze strachem. - Naprawdę są tu kojoty?

- Oczywiście. Ale nie musisz się nimi martwić. Z reguły nie podchodzą do domów.

- Ale ten był bardzo blisko. Chyba zaraz za samochodem, wśród tych drzew.

- Wątpię, ale nawet jeśli tak, to nie ma się czym przejmować.

- Jak to, nie ma się czym przejmować? Przecież mógł mnie zaatakować! Jack odsunął ją od siebie na odległość ramienia.

- Lorelei - powiedział spokojnym, wyważonym tonem - kojot nie zrobi ci żadnej krzywdy, chyba że masz w walizce królika albo kurę. Ale nie masz niczego takiego, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie możesz być spokojna.

W tej chwili jednak kojot znów zawył przenikliwie i Lorelei przywarła do Jacka całym ciałem. Gdy ochłonęła z wrażenia i spojrzała na jego twarz, zauważyła na niej z trudem powstrzymywany uśmiech. Oburzona, uderzyła go w ramię.

- Ty idioto! Myślisz, że to takie zabawne?

- Przepraszam cię - odrzekł Jack, tłumiąc rozbawienie. - Ale myślałem, że skoro mieszkasz w Arizonie już od dłuższego czasu, to zdążyłaś przywyknąć do głosów pustyni.

- Ja nie mieszkam na pustyni, tylko w mieście! - obruszyła się.

- No tak, ale chyba wyjeżdżałaś czasem w góry - zdziwił się Jack.

- Nie za często - przyznała Lorelei.

- Dlaczego? Przecież zawsze lubiłaś odkrywać nowe miejsca.

Prawdę mówiąc, tuż po przeprowadzce do Arizony Lorelei była zafascynowana górami i kilka razy wybrała się do kanionu Preserve, żeby podziwiać kolibry i kwitnące kaktusy. Znała też wszystkie legendy dotyczące tych gór i kopalni złota starego Holendra. Przestała tu przyjeżdżać, gdyż Herbert nie podzielał jej fascynacji i wolał spędzać czas w klubie. Nie miała jednak zamiaru mówić o tym Jackowi.

- Nie ciągnęło mnie tu - oznajmiła krótko. - Przez cały czas powtarzam ci, że się zmieniłam, a ty wciąż nie chcesz mi uwierzyć.

- Trudno mi uwierzyć, byś mogła się zmienić aż tak bardzo. Dlaczego w takim razie zamieszkałaś w Arizonie? Zawsze sądziłem, że wybierzesz Florydę. Uwielbiałaś przecież plażę i surfing.

- Znudziła mi się plaża.

- I dlatego przeprowadziłaś się do Mesy?

- Podobało mi się to miasto i jego mieszkańcy.

Prawda wyglądała tak, że Lorelei szukała miejsca położonego jak najdalej od morza, które za bardzo kojarzyło jej się z Jackiem.

- Czy prądnica już działa? - zapytała, chcąc zmienić temat.

- Chyba tak. Chodź, sprawdzimy - powiedział Jack, prowadząc ją w stronę domku. - Zapalę światło i przyniosę z samochodu wszystko, czego będziemy potrzebowali.

Po chwili domek rozjarzył się światłem. Lorelei otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Po pierwsze, w środku było okropnie gorąco. Po drugie, domek był malutki, o wiele mniejszy, niż przypuszczała, i zdecydowanie zbyt przytulny. W pomieszczeniu dominował wielki kominek. Na podłodze z ciemnych desek leżał barwny indiański dywanik. W indiańskim dzbanie pomalowanym w czerwone, zielone i żółte wzory stał bukiet z suchych gałęzi. Większą część pokoju zajmowała wielka kanapa, zarzucona jasnożółtymi i rdzawymi poduszkami. Obok była mała kuchenka i drzwi, za którymi musiała się znajdować sypialnia.

- Kolacja - oznajmił Jack, wnosząc stertę styropianowych pojemników. Zamknął za sobą drzwi i postawił pojemniki na stole. - Nie ma tu piecyka, żeby to podgrzać, ale chyba jeszcze całkiem nie wystygło. Lepiej zjedzmy od razu, a potem przygotujemy się do spania.

- W tym upale i tak nie mam ochoty na nic gorącego - stwierdziła Lorelei, czując, że ręce ma wilgotne.

- Włączyłem klimatyzację. Za kilka minut powinno się zrobić chłodniej.

- A co z jutrzejszym noclegiem? Zauważyłam w samochodzie namiot, więc przypuszczam, że nie będziemy spali w hotelu.

- Nie będzie tak źle - pocieszył ją Jack. - Wyżej w górach noce są chłodniejsze. Co chcesz do picia? Mamy colę, herbatę i wodę.

- Poproszę o wodę. Jack podał jej butelkę.

- Isabel mówiła, że są tu jakieś naczynia, więc jeśli chcesz, poszukaj sobie szklanki.

- Mogę pić z butelki - odrzekła Lorelei i z ulgą przełknęła duży łyk chłodnego napoju.

Jack usiadł na drugim krześle naprzeciwko niej i podsunął jej pojemnik z jedzeniem. W środku znajdowały się hamburgery i chili.

- Alberto robi świetne hamburgery - oznajmił między jednym a drugim kęsem. - A ja uważam, że jego chili jest jeszcze lepsze. Spróbuj.

Lorelei przekroiła hamburgera na pół plastikowym nożem i nadgryzła jedną połówkę.

- Pamiętasz te hamburgery, które kupowaliśmy w Fort Walton i zabieraliśmy na naszą plażę?

Nasza plaża. Lorelei znieruchomiała. Był to odludny pas piaszczystego brzegu wciśnięty między wydmy, z dala od hoteli i miejsc odwiedzanych przez turystów. Przeważnie było tam pusto, szczególnie w lutym. Trafili tam przypadkiem pewnego dnia, gdy pochłonięci opowieściami Jacka o miejscach, do których chciałby pojechać, i skarbach, jakie pragnął znaleźć, nie zauważyli, że zboczyli ze ścieżki. To miejsce stało się „ich plażą”. Tam chodzili, gdy chcieli być sami, na tej plaży snuli plany na przyszłość, tam Jack wyznał jej miłość i poprosił, by za niego wyszła. I w tym odludnym miejscu właśnie kochali się po raz pierwszy.

- Nigdy nie zapomnę naszego pikniku przy księżycu - mówił Jack. - To był mój pierwszy piknik w życiu.

Lorelei wyczuła w tych słowach smutek i przejmującą tęsknotę. Zmusiła się, by odwrócić wzrok.

- Do końca życia nie zapomnę, jak wtedy wyglądałaś. Byłaś ubrana w białe szorty i jasnozieloną koszulkę, a we włosach miałaś zieloną wstążkę.

Głos Jacka był niski, uwodzicielski. Lorelei wpatrzyła się w jego twarz. Wracały do niej niechciane wspomnienia. Na chwilę zapomniała, gdzie jest i co się z nią dzieje.

- Lorelei?

Głos Jacka wyrwał ją z odrętwienia. Na jego twarzy zauważyła niepokój.

- Dobrze się czujesz? Nie smakuje ci kolacja?

Spojrzała na trzymanego w dłoni hamburgera i odłożyła go do pojemnika.

- Jest dobry, ale jestem za bardzo zmęczona, żeby jeść. Chyba pójde się położyć.

- Hm, Lorelei. Jest coś, o czym musimy najpierw porozmawiać.

- Jack, poczekajmy z tym do rana. Naprawdę jestem za bardzo zmęczona.

- Obawiam się, że to nie może poczekać.

- No dobrze - spojrzała na niego. - O co chodzi?

- Tu jest tylko jedno łóżko.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- W takim razie ty będziesz spał na kanapie - odparła stanowczym tonem Lorelei, idąc w stronę zamkniętych drzwi.

- Mówiąc o łóżku, miałem na myśli właśnie kanapę.

- Ale... - zająknęła się Lorelei i otworzyła drzwi, za którymi, jak sądziła, powinna się znajdować sypialnia. Zobaczyła łazienkę i obróciła się na pięcie z twarzą zarumienioną z gniewu.

- Zaplanowałeś to - oskarżyła Jacka.

- Nie.

- Nie wierzę ci.

- Trudno. - Jack wzruszył ramionami. - Przysięgam, że to nie zostało przeze mnie ukartowane. Nie planowałem zostać tu na noc. Myślałem, że rozbijemy obóz w górach i będziemy spać przy ognisku. Gdybyś nie była taka uparta i zechciała ze mną rozmawiać wtedy, gdy cię pytałem...

- Co takiego? - oburzyła się Lorelei. - Chcesz mi wmówić, iż jest to moja wina, że tu utknęliśmy? Zdaje się, że to ty mnie porwałś! Uprowadziłeś sprzed ołtarza!

Twarz Jacka pokryła się rumieńcem.

- Nie miałem wielkiego wyboru. Nie chciałaś ze mną rozmawiać, unikałaś mnie i nie dałaś mi szansy wyjaśnienia czegokolwiek. Nie mogłem pozwolić, żebyś wyszła za Herberta. Chciałem cię przekonać, że to byłby twój największy życiowy błąd. I to właśnie mam zamiar ci udowodnić w ciągu najbliższych dziesięciu dni.

- Dziesięć dni! - wykrzyknęła Lorelei z przerażeniem. - Chyba nie mówisz poważnie! Powiedz, błagam, że żartujesz!

- Zapewniam cię, że mówię najzupełniej poważnie. Chcę spędzić z tobą w górach dziesięć dni, Lorelei - po jednym za każdy stracony rok z tobą.

- I co będziemy robić przez te dziesięć dni? Szukać jakiejś głupiej kopalni złota?

- Nie tylko. Chcę ci dać szansę, żebyś mogła zmienić zdanie o mnie. O nas.

- Nie ma żadnych „nas”.

- O tym właśnie się przekonamy. Lorelei zmrużyła oczy.

- A za dziesięć dni zawieszysz mnie z powrotem do Mesy?

- Jeśli nadal będziesz tego chciała. Skoro jednak przez ten czas nie uda mi się przekonać cię, że powinniśmy być razem, to odwiozę cię do Herberta i zniknę z twojego życia na dobre.

- Jack, ja nie potrzebuję spędzać z tobą dziesięciu dni na tym odludziu. Mogę ci od razu powiedzieć, że nie zmienię zdania.

- Jeszcze zobaczymy.

Lorelei uniosła wyżej głowę.

- A jeśli nie zechcę z tobą pojechać?

- Nie masz żadnego wyboru - odrzekł stanowczo Jack, patrząc na Lorelei ponurym wzrokiem. - Albo pojedziesz ze mną z własnej woli, albo użyję siły, żeby cię do tego zmusić.

Lorelei spojrzała na niego z wściekłością i w pośpiechu ruszyła do łazienki.

- Umyj się, a ja tutaj posprzątam - powiedział Jack i gdy drzwi łazienki zatrzasnęły się tuż przed jego nosem, westchnął głęboko. Wojna nie była jeszcze wygrana i wiedział doskonale, że Lorelei będzie próbowała uciec, ale przynajmniej omówienie kwestii łóżka miał już za sobą.

Posprzątał w kuchni, a potem rozłożył kanapę. Lorelei wciąż była w łazience. Już od dłuższej chwili nie słyszał szumu wody. Zastanawiał się, czy znów będzie próbowała uciekać. Zauważył wcześniej, że łazienka miała okno, było jednak zbyt małe, by ktokolwiek, nawet dziecko, mógł się przez nie przecisnąć, a poza tym Lorelei na pewno nie była aż tak głupia, by próbować ucieczki w ciemnościach. Wiedziała przecież, że może narazić się na niebezpieczeństwo. Z drugiej strony nie zdziwiłoby go nic, co mogła zrobić.

Zastukał do drzwi łazienki.

- Wszystko w porządku, Lorelei?

- Nie - usłyszał jej zirytowany głos. Gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi i stanęła w progu, otoczona obłokiem pary. - Rzecz w tym, że jedyną nocną koszulą, którą moja siostra włożyła do walizki, jest to.

Strzępek czarnego jedwabiu uderzył Jacka w twarz. Pochwycił koszulkę, zanim zdążyła upaść na podłogę.

- No i co ty na to? - prychnęła Lorelei. Jack uważnie obejrzał koszulkę.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyś w niej spała - oznajmił z szerokim uśmiechem.

Lorelei z desperackim westchnieniem wyrwała mu z ręki kawałek czarnego jedwabiu.

- Musisz mi pożyczyć jedną z twoich koszul.

Jack uznał, że lepiej się z nią nie kłócić. Poza tym, skoro mieli spędzić noc w jednym łóżku, wołał, żeby Lorelei miała na sobie coś, co zakrywałoby więcej jej ciała niż ten strzępek cieniutkiego jedwabiu. Pogrzebał w swoim plecaku i wyciągnął z niego koszulę w rdzawo-czarną kratę.

Lorelei wyrwała mu ją z ręki i znów w pośpiechu pomaszrowała do łazienki, zatrzaskując za sobą z hukiem drzwi.

Gdy wyszła w chwilę później, Jack nie był już pewien, czy koszula stanowi mniejsze zagrożenie dla spokoju jego umysłu niż tamten strzępek jedwabiu. Właściwie nie powinien był wyciągać jej z plecaka. Czarna, półprzejrzysta króciutka koszulka niczego nie pozostawiała wyobraźni, natomiast odgadywanie kształtów Lorelei ukrytych pod jego dużą kraciastą koszulą było niezmiernie podniecającym zajęciem. Lorelei wyglądała przepięknie.

Płozłote włosy otaczały twarz o kształcie serca z wyrazistym rysunkiem pełnych ust i oczami w kolorze karmelu. Jasna, kremowa skóra szyi zniknęła pod zapiętym na ostatni guzik kołnierzykiem koszuli. Koszula unosiła się na jej pełnych piersiach, opadała wzdłuż szczupłej talii i okrywała krągłe biodra, kończyła się zaś mniej więcej w połowie smukłych, gładkich ud.

Podniecenie ogarniało całe ciało Jacka niczym pożar. Zastanawiał się, jak udało mu się przetrwać ostatnie dziesięć lat bez tej kobiety. W wyobraźni rozpinał guziki jeden po drugim, zsuwał koszulę z jej ramion, przywierał ustami do piersi, potem do drugiej...

- Myślę, że w tej sytuacji powinieneś spać w samochodzie.

Te słowa gwałtownie przywróciły Jacka do rzeczywistości. Lorelei stała przed nim z rękami opartymi na biodrach i wojowniczym wyrazem twarzy.

- Co takiego?

- Powiedziałaś, że powinieneś pójść spać do samochodu.

- Nic z tego. Nie będę spał w żadnym samochodzie. Ta kanapa jest obszerna i zmieścimy się na niej obydwój.

- W takim razie ja pójdę spać do samochodu - oświadczyła stanowczo Lorelei.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Pójdę, jeśli zechcę! Za żadne skarby nie będę spała z tobą w jednym łóżku.

Jack rzucił jej blady uśmiech.

- O co ci chodzi, kochanie? Nie ufasz sobie i nie jesteś pewna, czy uda ci się utrzymać ręce z dala ode mnie?

- Możesz sobie o tym tylko pomarzyć.

- Owszem - przyznał. - Nie masz pojęcia, ile mam życzeń i marzeń związanych z tobą.

Teraz z kolei on poszedł do łazienki, po drodze jednak zauważył, że Lorelei nie spuszcza wzroku z kluczyków do samochodu, które leżały na stole. Nie zareagował. Odkręcił kurki prysznica, rozebrał się i policzył do dwudziestu, po czym owinął się ręcznikiem i otworzył drzwi. Lorelei stała przy stole z ręką uniesioną nad kluczykami. Szum klimatyzatora i wody płynącej z prysznica sprawił, że nie usłyszała jego wyjścia. Cicho przysunął się bliżej i stanął tuż za jej plecami.

- Masz ochotę wybrać się na nocną przejażdżkę? Obróciła się gwałtownie i oparła na jego nagiej piersi.

Jack wyjął kluczyki spomiędzy jej palców.

- Myślałam, że się kąpiesz - rzekła oskarżycielskim tonem.

- Przyszło mi do głowy, że chyba powinienem wziąć je ze sobą - odrzekł, wskazując na kluczyki. - Oczywiście możesz wejść ze mną pod prysznic i tam spróbować mi je wykraść.

- Co za idiotyczny pomysł - prychnęła Lorelei, odsuwając się od niego.

Piętnaście minut później, gdy wyszedł z łazienki, nadal był podniecony. Nie pomógł zimny prysznic ani wyczerpanie.

Poprzedniej nocy spał zaledwie cztery godziny, bo do późna przekonywał Desiree, by mu pomogła. Potem musiał jeszcze dopiąć wszystkie plany na ostatni guzik, a całe popołudnie zajęły mu zmagania z Lorelei. Mimo wszystko czuł, że trudno mu będzie zasnąć.

Zgasił światło i wsunął się do łóżka. Lorelei leżała wciśnięta w kąt, odwrócona do niego plecami. Smuga księżycowego blasku oświetlała jej włosy.

Jack przyłożył głowę do poduszki i poczuł słodki, podniecający zapach perfum. Lorelei poruszyła się we śnie. Prześcieradło zsunęło się z jej długiej, zgrabnej nogi. Jack westchnął. Wyciągnął ramiona nad głowę i wpatrzył się w sufit.

Lorelei wtuliła się mocniej w źródło ciepła i poczuła, że obejmują ją czyjeś silne ramiona, a dłoń opiera się na jej pośladku. Uśmiechnęła się sennie.

Zaraz, zaraz. Dłoń na jej pośladku?! Gwałtownie otworzyła oczy. Tuż przed sobą ujrzała twarz śpiącego Jacka i poczuła, że ogarnia ją przerażenie.

Och, Boże. Jak to się stało?

Przymknęła oczy i przypomniała sobie, że w nocy zmarzła. Przysunęła się wtedy do ciepłego miejsca pośrodku łóżka. Najwyraźniej tym źródłem ciepła był Jack.

Otworzyła oczy, starając się nie poruszyć, i przyjrzała mu się. W kącikach oczu Jacka zauważyła drobne zmarszczki, których nie było tam przed dziesięciu laty. Na skroniach pojawiły się pojedyncze siwe włosy. Blizna na lewej skroni także była dla niej nowością. Skórę wokół pięknie ukształtowanych ust pokrywał sztywny, czarny zarost. Patrzyła na tę twarz i czuła, jak ogarniają ją wspomnienia, od których przechodziły dreszcze.

Naraz wpadła w panikę. Musi mu jakoś uciec. W żaden sposób nie uda jej się zachować obojętności wobec tego mężczyzny, jeśli będzie musiała spędzić z nim sam na sam w górach całe dziesięć dni. Jack miał rację. Uczucie Lorelei do niego nie wygasło. Kiedyś jednak przysięgła sobie, że już nigdy nie zaufa

żadnemu człowiekowi na tyle, by narazić się na ból. Nie otworzy się przed nikim. Jack mógł jej ofiarować tylko cierpienie i dlatego musiała od niego uciec.

Pod swoją dłonią czuła równe bicie jego serca. Spał mocno. Widocznie wyczerpanie wzięło w końcu górę. Przez większą część nocy przewracał się niespokojnie z boku na bok. Dwa razy, gdy Lorelei budziła się, Jacka nie było w łóżku. Zapewne wychodził na zewnątrz. Teraz wreszcie spał jak zabity. To odpowiednia pora, żeby spróbować ucieczki. Trzeba ją tylko dobrze zaplanować.

Lorelei przygryzła wargę i zastanowiła się nad sytuacją, po czym powolutku zaczęła uwalniać nogę uwięzioną przez jego udo. Jack drgnął i mocniej przycisnął się do niej. Spróbowała jeszcze raz; udało się. Odsunęła rękę z jego piersi i powolutku zaczęła się obracać na bok. Zdjęła jego dłoń ze swojego ramienia i położyła ją na jego udzie. Jack drgnął i przesunął dłoń na jej biodro.

Lorelei zamarła w bezruchu.

Gdy oddech śpiącego Jacka znów się uspokoił, powoli zdjęła jego dłoń ze swojego kolana i odsunęła ją na bok.

Dłoń wróciła i tym razem mocno objęła jej pierś.

Lorelei wstrzymała oddech i mocno zacisnęła powieki. Dłoń zaczęła zataczać niewielkie kółeczka na piersi. Dotyk był delikatny, ale niezwykle podniecający. Lorelei z rozpaczą zacisnęła palce na przegubie ręki Jacka i znów spróbowała się odsunąć, nie budząc przy tym śpiącego mężczyzny.

Jack nagle mocno przytulił się do jej pleców.

Lorelei poczuła, że ogarnia ją furia. Wyrwała się z jego objęć i spojrzała prosto w roześmiane niebieskie oczy.

- Dzień dobry, kochanie - rozpromienił się Jack.

- Ty... ty oszuście! - Wskoczyła z łóżka i zawołała z oburzeniem: - Co za ohydny podstęp. Myślałam, że śpisz!

- Spałem, ale potem się obudziłem i stwierdziłem, że leżysz w moich ramionach. Przez chwilę zdawało mi się, że umarłem i znalazłem się w niebie. Ale jeśli tu wrócisz - poklepał dłonią materac - to z przyjemnością usnę znowu.

Lorelei rzuciła w niego poduszką.

- Próbowałam cię nie obudzić. Wiem, że mało spałeś tej nocy.

- To nie moja wina, tylko twoja.

- Jak to: moja? - zawołała z oburzeniem.

- Jasne, że tak. Nie mogłem przestać myśleć o tym, co kryje moja koszula - odrzekł, obrzucając ją wzrokiem głodnego drapieżnika.

Lorelei poczuła, że ogarnia ją fala gorąca. Oddech stał się urywany i wcale nie była już pewna, czy rzeczywiście chce opuścić Jacka i uciec od niego w bezpieczne miejsce.

- Ta koszula świetnie na tobie wygląda - dorzucił Jack cichym, ochryplym głosem. Wydawało się, że on również ma trudności z oddychaniem.

Lorelei z wysiłkiem oderwała wzrok od jego twarzy i spojrzała na siebie. Dwa górne guziki koszuli były rozpięte, ukazując rowek między piersiami. Jack wpatrywał się właśnie w to miejsce. Zaczerwieniła się i pośpiesznie zapięła guziki.

- Lorelei - szepnął Jack, stając tuż za nią. Objął ją mocno ramieniem, a palce drugiej ręki wplótł w jej płowozłote włosy. - Pragnę cię tak samo jak przed dziesięciu laty i wiem, że ty mnie też.

- Wcale nie - odrzekła drżącym głosem, choć było to oczywiste kłamstwo.

- Wiesz dobrze, że tak jest. Wracajmy do łóżka, kochanie. Obydwoje tego chcemy.

Wiedziała, że to prawda. Tak łatwo byłoby poddać się pokusie. Dłonie przesunęły się w dół i oparły na jej biodrach, a usta pieściły jedwabistą skórę szyi. Poczowała, że kolana uginają się pod nią. Jack przycisnął ją mocniej.

- Pozwól się kochać - wymruczał, pieszcząc językiem jej ucho.

Lorelei zadrżała. Kontury przedmiotów rozpląwały się jej przed oczami.

- Spójrz na mnie, Lorelei - powiedział cicho Jack, obracając ją twarzą do siebie. - Spójrz na mnie.

Lorelei z wysiłkiem otworzyła oczy i przesunęła palcami po jego policzku. Jack pochwycił jej dłoń i pocałował końce palców.

- Jack - szepnęła.

Naraz w jego oczach pojawiło się przerażenie, twarz pobladła i Jack głośno krzyknął.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bogu dzięki, że istnieją pająki, pomyślała Lorelei, patrząc, jak Jack szerokim łukiem omija ką, w którym zauważył tarantulę. Gdyby w porę nie spostrzegł pomarańczowo-czarnego owada, Lorelei bez wątpienia uległaby pokusie i poszła z nim do łóżka.

I byłby to wielki bład. Lorelei nie była pewna, co mogłoby się okazać dla niej bardziej niebezpieczne - ugryzienie przez tarantulę czy ponowne zakochanie się w Jacku. Niestety, reagowała alergicznie na ukąszenia większości owadów, toteż przygoda z pająkiem mogłaby mieć dla niej fatalne skutki. Gdyby nie to, próbowałaby złapać pająka i szantażem zmusić Jacka, by zabrał ją z powrotem do Mesy.

Zamknęła walizkę i uśmiechnęła się na wspomnienie przerażenia Jacka, gdy zauważył tarantulę. Z okrzykami „Och, Boże”, „Do diabła” i „Uważaj” pchnął ją na łóżko i sam wskoczył za nią. Ta nagła zmiana nastroju przywróciła Lorelei przytomność umysłu. Nie miała wcześniej pojęcia, że Jack boi się pająków. Zawsze wydawał się jej nieustraszonym, pewnym siebie śmiałkiem i nie podejrzewała go o żadne lęki.

- Jesteś gotowa? - zapytał Jack, zerkając z ukosa na ką przy oknie, w którym zniknął pająk.

- Jestem gotowa - odrzekła, powstrzymując uśmiech.
- To nie jest zabawne, Lorelei - mruknął, podnosząc jej walizkę.
- Jeszcze jak. Kto by pomyślał, że taki potężnie zbudowany, odważny mężczyzna jak Jack Storm, który przemierza cały świat w poszukiwaniu zaginionych skarbów, boi się małego pajączka?

Jack zatrzasnął bagażnik samochodu.

- Ten pająk wcale nie był mały. Był olbrzymi.
- Niech ci będzie - uśmiechnęła się. Wspięła się na fotel furgonetki i zapinając pas, patrzyła, jak Jack chowa klucz od domku pod wielkim kaktusem stojącym na werandzie. Prawdę mówiąc, pająk rzeczywiście był duży, niemal wielkości pięści. Ona także by się wystraszyła, gdyby zauważyła go pierwsza.

- Był wielki i niebezpieczny - upierał się Jack, zajmując miejsce przy kierownicy. - A gdyby ukąsił któregoś z nas? Ugryzienie tarantuli jest bardzo bolesne, a najbliższy szpital jest dopiero w Apache Junction.

Była to prawda. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich Lorelei dowiedziała się po przyjeździe do Arizony, było to, że wielkie jaszczurki pomimo groźnego wyglądu nie są niebezpieczne, a ugryzienie przez tarantulę, choć bolesne, nie jest śmiertelne, przynajmniej dla większości ludzi. Lorelei jednak już dwukrotnie zareagowała alergicznie na ukąszenie przez owada - raz, w dzieciństwie, była to pszczoła, a potem gąsienica w ogrodzie. Istniało prawdopodobieństwo, że ukąszenie tarantuli może się okazać dla niej równie niebezpieczne. Lorelei na wszelki wypadek unikała bliższego kontaktu z wszelkimi owadami. Myśląc o tym, powiedziała:

- Chyba powinieneś jeszcze raz zastanowić się nad tą wyprawą w góry. Słyszałam, że tam jest mnóstwo najrozmaitszych pająków.

- Będziemy się starali ich unikać - odrzekł Jack krótko.

- Czy jest coś jeszcze, czego się boisz? Może są jaszczurki albo węże? - zapytała niewinnie, choć, prawdę mówiąc, na myśl o tych stworzeniach ją samą przechodził nieprzyjemny dreszcz.

- Nie. W gruncie rzeczy, gdyby zabrakło nam pożywienia, z węża można przygotować całkiem smaczny posiłek - odrzekł Jack z szerokim uśmiechem.

Tym razem Lorelei nawet nie próbowała opanować dreszczy.

- Wierzę ci na słowo - mruknęła. - Sama myśl o jedzeniu mięsa węża robi na mnie mniej więcej takie wrażenie, jak widok tarantuli na tobie.

Jack skrzywił na drogę dojazdową.

- Skoro tak, to musisz mi zaufać, że ochronię cię przed węzami.

- A kto będzie chronił cię od pajaków? - odparowała szybko.

- Chyba będę musiał polegać na tobie - uśmiechnął się Jack.

- Na twoim miejscu nie liczyłabym na to.

- No, no. Przyznaj, kochanie, że wciąż coś do mnie czujesz. Gdybym był ci zupełnie obojętny, to próbowałabyś uciec w nocy, kiedy spałem jak kamień.

- Nie łudź się, Storm. Przecież zabrałaś kluczyki do samochodu.

- Mogłaś próbować znów je wykraść.

Prawdę mówiąc, Lorelei myślała o tym, Jack jednak schował kluczyki do kieszeni spodni, ona zaś wołała nie ryzykować wyciągania ich stamtąd. Nie miała jednak zamiaru przyznać się do tego.

- Uznałam, że jazda samochodem w ciemnościach to za duże ryzyko.

- W takim razie chyba nie muszę się obawiać, że będziesz próbowała zamordować mnie we śnie i zabrać samochód.

- Nie licz na szczęście, Jack. Całkiem możliwe, że w końcu cię zamorduję. Jeśli tak dalej pójdzie, to zacznę się zastanawiać, czy nie warto posiedzieć parę lat w więzieniu.

- Jak ty się zwracasz do przyszłego męża?

- Jack - jęknęła Lorelei z rozpaczą.

- Nie oszukuj się - rzekł z uśmiechem. - Dobrze wiesz, że gdyby nie ten pajak, to teraz byłibyśmy w łóżku. - Zerknął na nią z ukosa. - I zapewniam cię, że następnym razem, gdy będę cię trzymał w ramionach, nie przeszkodzi mi nawet cała armia pajaków.

Lorelei poczuła dreszcz podniecenia. A niech go diabli, pomyślała.

- Nie będzie żadnego następnego razu - oznajmiła stanowczo. - Ucieknę od ciebie przy pierwszej okazji.

- W takim razie muszę uważać, żeby nie stworzyć ci takiej okazji.

Przez kilka godzin jechali wyboistą, pylistą drogą przez labirynt zarośli. Gdy Jack wreszcie zatrzymał samochód i zaproponował, by rozprostowali nogi, Lorelei miała już dość. Jednak w chwili, gdy wyszła z klimatyzowanego wnętrza samochodu, w twarz uderzył ją zapierający dech upał.

- Masz ochotę się przejść? - zapytał Jack.

- A jeśli nie? - odparła, zastanawiając się, dlaczego na tym człowieku upał najwyraźniej nie robi żadnego wrażenia.

Wzruszył tylko ramionami.

- To możemy zjeść lunch w samochodzie. Ale tam dalej, zaraz za tymi drzewami, jest ładne miejsce. Szkoda byłoby, gdybyś miała go nie zobaczyć tylko dlatego, żeby zrobić mi na złość.

- No dobrze - zgodziła się, zaniepokojona tym, że Jack czyta w jej myślach. - I tak muszę rozprostować nogi.

- Grzeczna dziewczynka - mruknął.

Odwróciła wzrok i wpatrzyła się w wielki kanion, który rozpościerał się pod nimi. Zielonkawe skały wznosiły się jak kamienne palce w stronę białego od upału nieba.

Lorelei przypomniała sobie wszystko, co kiedyś czytała o Indianach Pima, którzy bali się gór. Ich przesady nadały tym górcom nazwę.

- Idziesz, dziewczyno z miasta? - zapytał Jack, wyjmując plecak z samochodu i przypinając manierkę do paska. Podał jej tubę kremu. - Posmaruj sobie twarz, żeby ci słońce nie poparzyło. Wiem, że nie lubisz, kiedy wy- skakują ci piegi.

Wyciągnęła rękę po krem, ale on nie puścił tuby. Ich oczy spotkały się, po czym Jack przeniósł wzrok na jej białą bawełnianą koszulkę i oliwkowe szorty, spod których wylaniały się długie nogi.

- Albo może lepiej ja to zrobię - mruknął.

Lorelei wyrwała mu tubę z ręki, usiadła na kamieniu i szybko pokryła kremem ramiona, nogi i twarz.

- Chodźmy - zerwała się, chcąc uciec przed jego szacującym spojrzeniem.

Weszli do kanionu przez szczelinę w skalnej ścianie. Jack prowadził ją między kolczastymi zaroślami w stronę skalistego dna. Lorelei zapomniała o głodzie, podziwiając niezwykły widok. Przed nimi wznosiła się w górę wygładzona wiatrami, żółto-fioletowa grań. Kamienne palce o wysokości co najmniej dwudziestu metrów otaczały górną część kanionu, tworząc labirynty korytarzy. Lorelei poczuła ochotę, by zagłębić się w wąskich przesmykach i zbadać, dokąd prowadzi każdy z nich.

- Robi wrażenie, prawda? - zapytał Jack, wskazując kamień, na którym mogła usiąść.

- Tak - zgodziła się, biorąc z jego ręki kielbasę, chleb i ser. - Musi tu być pięknie wiosną.

- Możemy tu wrócić i się przekonać.

Lorelei wzięła się w garść. Zbyt łatwo byłoby jej wpaść w sieć marzeń, misternie rozsnawaną przez Jacka. Trzeba było jednak wrócić do teraźniejszości i wymyślić jakiś sposób ucieczki.

W miarę jak wjeżdżali wyżej w góry, droga była coraz trudniejsza. Godziny mijały jedna za drugą. Żwirowa droga ustąpiła polnej, zwężającej się niepostrzeżenie. Zbliżał się wieczór.

Gdy na bladym niebie pojawił się ledwie widoczny księżyc, Jack zatrzymał samochód na przydrożnej polance.

- Chyba zostaniemy tutaj na noc.

Zgasił silnik, zostawiając kluczyki w stacyjce, i wysiadł. Zauważył wzrok Lorelei utkwiony w kluczykach, ale nie zważając na to, zaczął wypakowywać bagaże.

- Pójdę rozbić namiot - rzekł, ciągnąc za sobą zwój płótna w kolorze khaki. - Przygotujesz jakąś kolację?

- Z czego?

- Wszystko jedno. Wybierz cokolwiek.

Dopiero teraz podszedł do stacyjki i wyszarpnął kluczyki.

- Mało brakowało, a zapomniałbym - uśmiechnął się szeroko.

Lorelei obdarzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Obawiasz się, że ukradnę samochód i zostawię cię tutaj?

- A zrobiłabyś to?

- Nie - odrzekła, podchodząc do bagażnika. - Ale nie ze względu na ciebie. Tobą bym się w ogóle nie przejmowała.

- Tak myślałem - westchnął Jack.

- Mówiłam ci przecież, że nie jestem zupełną idiotką. Nie próbowałabym zjeżdżać z boczami w dół po ciemku. Poczekałabym do rana.

- To znaczy, że nie muszę przykuwać cię wieczorem do siebie kajdankami.

- Co takiego?!

- Właściwie to zamierzałem użyć liny, ale skoro mówisz, że nie będziesz próbowała uciekać, to chyba zrezygnuję z tego pomysłu. - Na widok oburzenia na jej twarzy uśmiechnął się i szybko pocałował ją w usta. - Może rozpakujesz plecak z jedzeniem, gdy ja będę rozstawiał namiot?

Odwrócił się i ruszył w dół zbocza. Zdążył jeszcze usłyszeć trzaśnięcie drzwiczek samochodu i mamrotane pod nosem uwagi o zakutych łbach.

Pogwizdując, rozkładał namiot, Lorelei zaś grzebała w plecaku.

- Jak tam kolacja? - zapytał po chwili, ale w odpowiedzi otrzymał tylko chmurne spojrzenie.

- Najsmakowitszą rzeczą, jaką tu znalazłam, jest gulasz w puszcze.
 - Może być.
 - Nie prosiłam cię o aprobatę - warknęła Lorelei, rozpakowując naczynia.
- Zjemy na zimno, czy mam to podgrzać?

Jack otarł czoło ręką.

- Jak chcesz. W samochodzie jest turystyczna kuchenka. Możesz też nazbierać gałęzi na ognisko albo możemy zjeść na zimno.

Lorelei jednak podgrzała gulasz i gdy zasiedli do kolacji, Jack był z tego zadowolony. Wkrótce po zachodzie słońca temperatura znacznie spadła.

- Zimno ci? - zapytał, widząc, że Lorelei pociera ramiona dłońmi.
- Trochę - przyznała i przysunęła się bliżej do ogniska.
- Ciesz się chłodem, póki możesz. Zaraz po wschodzie słońca znów zacznie się upał.

- Czy ty przynajmniej wiesz, dokąd jedziemy? A może po prostu masz zamiar ciągnąć mnie przez te góry na ośle przez najbliższe osiem dni?

- Wiem, dokąd jedziemy. No, mniej więcej. Nie martw się, to już niedaleko. Jutro powinniśmy dotrzeć do miejsca, gdzie chcę założyć bazę. Rozbijemy obóz i dalej już będziemy musieli iść piechotą.

- To znaczy, że zostawimy samochód? - zapytała Lorelei ze zdumieniem.
Jack skinął głową.

- Samochód nie wjedzie do tej części kanionu, do której chcę dotrzeć.
Będziemy mieli szczęście, jeśli znajdziemy jakąś ścieżkę.

Lorelei odstawiła kubek z kawą. Jej oczy w blasku ognia skojarzyły się Jackowi z barwą jego pierwszej wypitej w życiu butelki koniaku Remy St. Jacques. Po wielu latach kupowania rzeczy w drugim gatunku wydał pięćset dolarów na stary, dobry koniak i nigdy tego nie żałował. Trunek smakował dziesięć razy lepiej niż tanie alkohole, jakie kupował wcześniej, a jego kolor był bogatszy, żywszy, pełen energii.

Podobnie jak oczy Lorelei.

- Jack, to szaleństwo. Ludzie szukają kopalni starego Holendra już od ponad stu lat i nikt jej nigdy nie znalazł.

- Nie mieli mapy. A ja ją mam.

- Takich map są dziesiątki. Sprzedaje je co drugi sklep z pamiątkami dla turystów.

- Ale moja mapa jest prawdziwa. To ta, którą Jacob Waltz dał przed śmiercią Julii Thomas.

Lorelei zmarszczyła brwi.

- To ta kobieta z piekarni, która pielęgnowała go w chorobie?

- Tak - potwierdził Jack, ucieszony, że Lorelei zna tę historię.

- Chcesz mi powiedzieć, że szukamy tu nie wiadomo czego, bo ty znalazłeś kawałek papieru, na którym coś jest nabazgrane i który, twoim zdaniem, jest mapą starego Holendra?

- Naprawdę dał Julii tę mapę - upierał się Jack. - Przyjaźnili się od lat i był jej wdzięczny za opiekę. Wiedział, że umiera i nigdy już nie wróci do swojej kopalni, dlatego podarował Julii swoją mapę. Chciał, żeby dostała jego złoto.

- Och, Jack.

- To prawda. I ja mam właśnie tę mapę. - Jack otworzył swój plecak i wyciągnął plastikową torebkę, w której znajdował się wyblakły, pomięty kawałek pergaminu. - Sama zobacz.

Nieporadny rysunek przedstawiał góry, skały i tunele. Lorelei nie wierzyła w autentyczność mapy. Jack zauważył w jej wzroku wątpliwość i nieco zbiło go to z tropu. Czyżby się mylił?

- Jack, wszyscy w tej okolicy znają opowieść o starym Holendrze i jego złocie. Nawet gdyby ta mapa była autentyczna...

- Jest autentyczna - powtórzył z przekonaniem, choć w tej chwili wcale nie był tego pewien. Musiała być autentyczna. Mówił mu to instynkt. Właśnie dlatego przyjął ją zamiast pieniędzy w pokerowej rozgrywce.

- No dobrze, jeśli jest autentyczna, to dlaczego ta Julia Thomson nie znalazła złota? Dlaczego nie znalazł go nikt, kto po niej odziedziczył mapę?

- Bo nikt nie miał ciebie jako talizmanu. Ty przynosisz mi szczęście, Lorelei. - Wziął w rękę pasmo jej złotobrazowych włosów. - Nie rozumiesz? W chwili gdy cię zobaczyłem w tej księgarni, zyskałem pewność, że mapa musi być prawdziwa i że tym razem znajdę coś wspaniałego. Mapa doprowadziła mnie do ciebie, a z tobą znajdę złoto.

- Przestań - rzekła Lorelei. Odsunęła się od niego i wstała.

- Lorelei.

Odwróciła się do niego plecami.

- Czy dlatego przywiozłeś mnie tutaj, Jack? Dlatego, że jestem dla ciebie maskotką przynoszącą szczęście?

Po brzmieniu jej głosu Jack poznał, że czuje się zraniona. Odłożył mapę i stanął obok niej. Powiew wiatru rozniecił mocniej ogień. Na twarzy Lorelei zatańczył kosmyk włosów. Jack wsunął ten kosmyk za jej ucho.

- Przywiozłem cię tu dlatego, że cię kocham i chcę zyskać jeszcze jedną szansę.

- Na co? Na to, żebyś mógł znów złamać mi serce? Jack skrzywił się boleśnie.

- Nigdy nie miałem zamiaru cię zranić, Lorelei. To ostatnia rzecz, jaką chciałbym zrobić.

- W takim razie dlaczego potrzebowałeś aż dziesięciu lat, żeby mnie odnaleźć? - zapytała, odwracając się. W jej oczach dostrzegł gniew i naganę; wiedział, że zasłużył na jedno i drugie.

- Dzwoniłem...

- Dwa razy. Zadzwoń do mnie dwa razy. A gdy nie chciałam z tobą rozmawiać, bo czułam się zbyt wściekła i zraniona, nie zadzwoniłeś już więcej ani nie przyjechałeś, żeby się ze mną zobaczyć.

- Nie mogłem. Łódź przybiła do brzegu tylko na trzy godziny i tego samego wieczoru odpływała. Wróciłem w następnym miesiącu, gdy wyprawa się skończyła, ale ciebie już nie było. Wyjechałaś razem z rodziną. Napisałem w nadziei, że list dotrze do ciebie pod nowy adres.

- Dotarł.

- Ale nie przeczytałaś go. Odesłałaś zaklejony.

- Winisz mnie za to?

- Nie - przyznał bardziej szorstko, niż zamierzał. Nie winił jej, lecz siebie.

- Czy myślisz, iż nie wiem, że masz prawo być na mnie wściekła, a nawet mnie nienawidzić? Dlatego w końcu postanowiłem, że nie będę cię szukał. Uznałem, że najlepiej się stanie, jeśli dam nam obydwójgu trochę czasu.

- Wierz mi, Jack, że nie potrzebowałam aż dziesięciu lat, żeby dojść do siebie.

- Nie to miałem na myśli.

- Już po kilku tygodniach uświadomiłam sobie, że obydwójce omal nie popełniliśmy okropnego błędu.

- To wcale nie byłby błąd.

- W takim razie dlaczego znalazłeś mnie dopiero po dziesięciu latach?

- Bo chciałem... - zamilkł nagle.

- Czego chciałeś?

- Chciałem dać ci coś więcej niż tylko marzenia i obietnice.

- A co możesz mi ofiarować teraz? - zapytała bez ogródek.

- Jeśli mam rację - odrzekł Jack ze ściśniętym sercem - to będę mógł ci podarować złoto starego Holendra.

- Nie chcę go. Nigdy nie interesowały mnie pieniądze. Nie chcę twojego przeklętego złota.

- Szkoda - rzekł Jack, ujmując w dłoń jej twarz. - Bo ja i tak je znajdę i podaruję tobie. Kocham cię. Zawsze cię kochałem i moje uczucie do ciebie nigdy nie minie. Proszę, Lorelei, daj mi szansę.

Przesunął ustami po jej wargach. Przez chwilę obawiał się, że Lorelei go odepchnie. Serce niemal przestało mu bić w piersi. Ona jednak przymknęła oczy i wtuliła się w niego. Wplótł drżące ręce w jej włosy i szeptem powtarzał jej imię. Gdy rozchyliła usta, przywarł do nich w mocnym pocałunku.

Nagle, w ciemnościach nocy, rozległ się krzyk dzikiego zwierzęcia. Lorelei oderwała się od Jacka.

- Co to było? - zapytała, dygocąc z lęku.

- Pewnie kolacja jakiegoś kojota - odrzekł Jack. Czuł się tak, jakby przed chwilą ukończył maraton.

Lorelei zadrżała.

- Dzięki. Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo mnie pocieszyłeś. I tak pewnie nie mogłabym zasnąć z obawy, że jakiś pająk albo wąż zakradnie się do namiotu. A teraz w dodatku będę sobie wyobrażać, że staję się kolacją jakiegoś kojota.

Jack nie widział powodu, by nie wykorzystać lęku, który sprawiał, że Lorelei mocno się do niego przytulała. Przesunął dłonią po jej plecach i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Nie ma się czego bać. Kojoty nie będą nam przeszkadzać.

- Skąd wiesz? Słyszałam, że one wędrują stadami i atakują nawet psy większe od siebie. Dlaczego nie miałyby zaatakować nas?

- Nie zrobią tego - wymruczał Jack uspokajająco, całując ją w ucho. - Po pierwsze, jest wiele innych zwierząt, które łatwiej im upolować. Po drugie, odstraszy je ogień.

- A jeśli... jeśli ogień wygaśnie?

Głos miała niski i ochryply. Jack z trudem panował nad ogarniającym go podnieceniem.

- Wówczas najpierw będą miały do czynienia ze mną, bo nie mam zamiaru wypuścić cię dzisiaj z ramion.

Lorelei odsunęła się nieco i spojrzała na niego podejrzliwie.

- A co to ma znaczyć?
 - Tylko tyle, że będziemy spali w jednym namiocie - uśmiechnął się Jack.
 - Jeśli się boisz kojotów, to możemy spać razem śpiwory.
- Lorelei zeszywniała i odsunęła się na odległość ramienia.
- Nic z tego, Jack. Wolę zaryzykować spotkanie z kojotem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lorelei odsunęła ręką coś, co łaskotało ją w policzek. Większą część nocy spędziła bezsennie, na przemian wypatrując kojotów i rzucając gniewne spojrzenia na mocno śpiącego Jacka. Wsłuchiwanie się w jego równy oddech również nie pomagało jej zasnąć. Jak mogła spać, gdy on leżał o pół metra od niej, niemal nagi i tak nieprzyzwoicie atrakcyjny?

Natrętny owad znów połaskotał kącik jej ust. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą uśmiechniętą twarz Jacka.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział i pocałował ją. - Czas wstawać.
- Daj mi spokój - wymruczała, zamykając oczy. Nigdy nie była rannym ptaszkiem i nie ufała nikomu, kto rozpoczynał dzień z błyszczącymi oczami i radosnym uśmiechem.

- Nic z tego.

Znów ją pocałował; tym razem trwało to dłużej. Jego ciepłe usta były niezmiernie kuszące i Lorelei poczuła, że budzi się w niej podniecenie. Odsunęła Jacka i przewróciła się na bok. Po nocy spędzonej na twardej ziemi bolały ją wszystkie mięśnie, nawet te, o których istnieniu wcześniej nie miała pojęcia.

- Ten, kto twierdzi, że biwakowanie pod gołym niebem jest przyjemne, to kłamca i sadysta - wymamrotała.

- Wstawaj, śpiochu. Nie było tak źle. Ja spałem jak kamień. Nie ma to jak noc pod gwiazdami, na świeżym górskim powietrzu.

- Jack.

- Co?

- Idź i rzuć się ze skały.

- Zdaje się, że nie spaliśmy dobrze? - zaśmiał się. Lorelei jęknęła i poszukała schronienia w śpiworze.

- Nie martw się. Następnej nocy będziesz spała lepiej.

- Dla mnie ta noc jeszcze się nie skończyła - poinformowała go z zamkniętymi oczami. - Poza tym słońce jeszcze nie wzeszło.

- Kochanie, przykro mi to mówić, ale to, co świeci na niebie, to nie jest księżyc. Słońce wzeszło już pół godziny temu. Dochodzi szósta.

- Niemożliwe. Dopiero co zasnęłam. - Ziewnęła szeroko. - Może pójdziesz poszukać zaginionych skarbów i obudzisz mnie za kilka godzin?

- Przykro mi, ale nic z tego. Szukamy złota starego Holendra i musimy już ruszać. Wstawaj.

Lorelei nawet nie drgnęła. Jack klepnął ją w pośladek. Obróciła się do niego twarzą i znów jęknęła.

- Trzymaj ręce przy sobie, Storm, bo jak nie, to ja się rzucę ze skały.

Jack przechylił głowę w taki sposób, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Brzmi to jak zaproszenie do nieco perwersyjnej gry wstępnej. Ale jeśli masz na to ochotę, to ja jestem jak najbardziej chętny.

Lorelei mocno zacisnęła powieki i westchnęła z rozpaczą. Ten facet był zupełnie szalony.

- Perspektywa pójścia z tobą do łóżka jest niezmiernie kusząca - ciągnął ten szalony facet - ale obawiam się, że to musi zaczekać. Naprawdę czas ruszać.

- Znów ją pocałował. - Kawa już gotowa. Ubierz się, a ja zrobię ci śniadanie.

Gdy wreszcie odszedł, Lorelei przyłożyła palce do ust i powoli wypełzła ze śpiwora. Wyciągnęła z plecaka szorty i bluzkę, nałożyła buty do wspinaczki i

sznurując je, zauważyła portfel Jacka leżący wraz z kluczykami do samochodu obok jego plecaka.

Z głośno bijącym sercem wyjrzała zza klapy namiotu. Jack pogwizdywał pochylony nad ogniskiem. Przeniosła wzrok na kluczyki. Jeśli ma zamiar uciec, to teraz jest dobry moment. Jeszcze jeden dzień spędzony w jego towarzystwie i zdradzieckie hormony mogą wziąć górę nad rozsądkiem. Szybko wstała i sięgnęła po kluczyki.

- Lorelei! Raptownie cofnęła rękę.

- Co? - zawołała, usiłując uspokoić przyśpieszony oddech.

- Zaczynam smażyć jajka. Jeśli nie będzie cię tu za dwie minuty, to przyjdę do namiotu i sam cię nakarmię, a potem wpełznę z tobą do śpiwora.

- Już idę - odkrzyknęła. Wsunęła kluczyki do kieszeni szortów i wybiegła z namiotu.

- Byłem pewien, że moja groźba cię przestraszy - zaśmiał się Jack, gdy usiadła obok niego przy ognisku.

- Wspomniałeś coś o kawie - przypomniała mu. Podał jej kubek i talerz z jajkami.

- Proszę bardzo. Dwa sadzone i chrupiący boczek. Dokładnie to, co lubisz.

- A ty nie będziesz jadł?

- Jadłem już, jakąś godzinę temu. Napiję się kawy i dotrzymam ci towarzystwa.

Świetnie, pomyślała Lorelei. W jaki sposób ma się dostać do samochodu, skoro on ma zamiar przez cały czas tu siedzieć? Udało jej się przełknąć kilka kęsów jajka. Zastanawiała się przy tym, co robić dalej. Była w dość dobrej formie, ale wiedziała, że jeśli zacznie uciekać, Jack dogoni ją bez trudu.

- Jesteś dziś bardzo milcząca - rzekł, siadając naprzeciwko niej.

- Nie jestem szczególnie rozmowna rano.

Jack uśmiechnął się i skrzyżował ramiona za głową.

- A tak, pamiętam, że nawet na plażę nie lubiłaś chodzić przed południem.
- Nie widziałam żadnego sensu w tym, żeby odmrozić sobie tyłek, pływając o świcie.

- Zawsze ci powtarzałem, że chętnie cię rozgrzeję. I nadal jestem gotów to zrobić.

- Dziękuję, nie skorzystam - odrzekła Lorelei stanowczo, grzebiąc widelcem w talerzu.

- Jak smakują ci jajka? - zapytał Jack, zmieniając temat.

- Są dobre - odpowiedziała bez przekonania, podnosząc widelec do ust.

- Cieszę się, że ci smakują, bo będziesz potrzebować dużo siły. Pustynia to nie to samo co miasto. Pokonywanie jej zupełnie cię wyczerpie. A mamy przed sobą ciężki dzień.

Oznaczało to, że jeśli Lorelei chce uciec, to musi się pośpieszyć.

- Chcesz dzisiaj poszukać kopalni?

- Chyba dopiero jutro. To już niedaleko, ale dziś musimy założyć obóz. Potem razem przyjrzymy się mapie i pomożesz mi zdecydować, gdzie powinniśmy szukać najpierw.

- Chcesz, żebym to ja decydowała, gdzie szukać?

- Jasne. Przecież kiedyś na Florydzie oglądaliśmy razem mapy terenów, na których znajdowały się ukryte skarby, i byłaś w tym bardzo dobra. Powiem więcej - uśmiechnął się szeroko. - Byłaś znakomita.

- Skąd możesz wiedzieć? Przecież nigdy nie wybraliśmy się na żadną wyprawę.

- Pamiętasz te trzy hiszpańskie okręty? Sprawdzaliśmy ich kurs i zastanawialiśmy się, gdzie mogły zatonać.

- Te, na których płynęła arystokratka, która wykradła ze swojego posagu rodowy naszyjnik ze szmaragdów oraz bezcenny pierścionek i wybrała się na spotkanie z ukochanym?

- Właśnie.

- Według legendy, statki zostały zaatakowane przez piratów, których wynajęła rodzina dziewczyny, by sprowadzili ją z powrotem do domu. Oni jednak zabili ją i zatopili okręty.

- A klejnotów nigdy nie odnaleziono.

Lorelei wróciła myślą do popołudni, które spędzali razem, studiując dzienniki pokładowe i marząc o odnalezieniu zatopionych wraków.

- Czy naprawdę znalazłeś statki i klejnoty? - zapytała z podnieceniem.

Jack zmarszczył brwi i jego entuzjazm wyraźnie przybladł.

- Niezupełnie. Nie znalazłem największego statku ani klejnotów, tylko jeden mniejszy, który wiozł szkatułkę złotych monet. Leżał tuż przy wybrzeżu Florydy, tam, gdzie, twoim zdaniem, powinien być.

A więc miała rację, ale straciła okazję, by się o tym przekonać naocznie. Wbrew sobie poczuła rozczarowanie.

- A co to wszystko ma wspólnego ze mną? - zapytała.

- Nie rozumiesz? Bez ciebie nigdy bym nie znalazł tego statku. A teraz razem znajdziemy złoto Holendra. Wiem, że nam się uda. Znow będzie tak jak kiedyś.

Lorelei usiłowała zagłuszyć kłębiące się w niej emocje.

- Nie! - odrzekła z wysiłkiem, lecz stanowczo. - Nie możemy wrócić do przeszłości. Nie chcę tego. Nic już nie jest takie samo, jak kiedyś. Nie jestem tą dziewczyną, która była w tobie zakochana dziesięć lat temu.

Na twarzy Jacka pojawiła się determinacja.

- To prawda. Ale kobieta, która całowała mnie wczoraj wieczorem, jest tą samą kobietą, która dziesięć lat temu kochała mnie i zgodziła się za mnie wyjść.

- Wylał resztkę kawy z kubka na ziemię i wstał. - Skończ śniadanie, a ja włożę nasze rzeczy do samochodu.

Lorelei poczuła, że ogarnia ją panika.

- Poczekaj! - zawołała.

- Co takiego? - zapytał Jack, zatrzymując się w pół kroku.

- Już skończyłam.

- W takim razie posprzątaj naczynia.

- Dobrze wiesz, że nie znoszę kuchennych zajęć - odparła Lorelei drżącym z emocji głosem. - Ja się zajmę pakowaniem, a ty posprzątaj po śniadaniu.

Jack zawahał się.

- Niech będzie. Umyję naczynia w strumieniu za tymi skałami, a ty zanieś swoje rzeczy do samochodu. Nie martw się o namiot. Ja go złożę.

Lorelei wzięła swój plecak i ruszyła do samochodu, całą siłą woli powstrzymując się, by nie biec. Wrzuciła plecak na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą, nie tracąc czasu na przesunięcie fotela ani zapięcie pasów. Serce dudniło jej mocno. Zerknęła we wsteczne lustro, by sprawdzić, czy Jacka nie ma w polu widzenia. W duchu obiecała sobie solennie, że przyśle po niego przyjaciół z Tortilla Flats. Drżącymi palcami włożyła kluczyk do stacyjki i spróbowała go przekręcić.

Silnik zawył głośno i ucichł. Lorelei wytarła wilgotną dłoń o szorty i spróbowała jeszcze raz. Silnik znów zgasł. Gorączkowo przekręciła kluczyk po raz trzeci i mocno nacisnęła pedał gazu. Znów to samo.

- Może to by ci się przydało - usłyszała.

Jack stał przy otwartym oknie samochodu i z uśmiechem pokazywał jej coś, co trzymał w dłoni.

- Palec rozdzielacza - wyjaśnił, otwierając drzwiczki. - Bez tego samochód nie zapali.

- Ty draniu! - wykrzyknęła Lorelei z wściekłością. Szarpnęła drzwi i rzuciła się na niego całym ciężarem ciała. Z satysfakcją odnotowała, że jego śmiech przeszedł w jęk. Jack zamachał rękami, żeby nie stracić równowagi.

- To cię oduczy zabawiać się z...

Szarpnął ją za ramię i Lorelei poczuła, że traci grunt pod nogami.

- Puść mnie - jęknęła.

- Jeszcze czego - usłyszała w odpowiedzi. Jack objął ją mocno i razem poturlali się ze wzniesienia. Jeden obrót, drugi, trzeci i zatrzymali się u podnóża. Jack leżał na plecach, a na nim, z ustami tuż przy jego wargach, znajdowała się Lorelei. W plecy Jacka wrzynał się ostry kamień. Nic to jednak nie znaczyło wobec faktu, że palce Lorelei wczepione były w jego koszulę, piersi przyciśnięte do jego torsu, uda splecione z jego nogami. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Wiesz, kochanie, żartowałem tylko, kiedy mówiłem o perwersyjnej grze wstępnej, ale teraz wydaje mi się, że to nie był taki zły pomysł.

- Ty idioto! - Lorelei zsunęła się z niego i Jack wyraźnie poczuł, jak ostra krawędź kamienia wpija mu się w plecy. - Nie potrafiłeś wymyślić nic głupszego! Mogliśmy się obydwójce zabić!

Jack niespostrzeżenie przesunął kamień.

- Na co czekasz? Wstawaj - zakomenderowała Lorelei.

Nie poruszył się, pewien, że to jeszcze nie koniec. Lorelei przysunęła się bliżej.

- Jack, słyszysz mnie? Powiedziałam, żebyś wstał. Uniósł się nieco i jęknął.

- Co ci się stało? - zapytała Lorelei, mrużąc oczy. - Jesteś ranny? Złamałeś sobie coś?

- Nic takiego - odrzekł, wpatrując się w jej dekolt. Kilka guzików rozpięło się przy upadku, odsłaniając piersi.

- To dlaczego nie wstajesz? - oburzyła się, stając nad nim w rozkroku, z rękami opartymi na biodrach. - Masz zamiar tak tu leżeć przez cały dzień?

- To nie jest taki zły pomysł, pod warunkiem, że zechciałabyś się do mnie przyłączyć - odrzekł i pochwycił ją za kostkę.

- Puść mnie - zażądała.

- Nic z tego.

- Oszukałeś mnie. Pozwoliłeś mi wykraść kluczyki do samochodu, chociaż wiedziałeś, że i tak go nie uruchomię.

Jack spojrział na jej pałającą gniewem twarz.

- Czy naprawdę sądziłaś, że ci zaufam? Przecież ostrzegałaś, że będziesz próbowała uciec. Obiecałem, że zawiozę cię do Mesy po dziesięciu dniach. Wcześniej nigdzie cię nie puszcze.

- Musisz czasami sypiać, a kiedy zaśniesz, już mnie tu więcej nie zobaczysz!

- W takim razie będziemy musieli sypiać razem - oznajmił Jack z pełnym satysfakcji wyrazem twarzy.

- Wolałabym spać z grzechotnikiem! - odcięła się Lorelei. - Prędzej zobaczysz śnieg w lipcu niż mnie w swoich ramionach!

A jednak w jedenaście godzin później znalazła się w jego ramionach, choć nadal był lipiec, a śnieg nie spadł. Stado kojotów znów zaczęło wyć. Lorelei zadrżała i mocniej wtuliła się w ramiona Jacka.

- Nie bój się, kochanie - powtarzał, gładząc ją po plecach. - One nic nam nie zrobią. Mówiłem ci, że nawet gdyby były głodne, ogień by je odstraszył.

Powoli napięte mięśnie Lorelei zaczęły się rozluźniać.

- Już lepiej? - zapytał Jack.

- Tak. Dziękuję - wymruczała speszona, podnosząc na niego wzrok.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Idziemy spać?

Lorelei skinęła głową i pociągnęła nosem.

- Jack, czujesz, że coś się pali? To nie jest zapach drewna!

On także pociągnął nosem, po czym obrócił się w miejscu i serce zamarło mu w piersi. Mapa, klucz do przyszłości jego i Lorelei, leżała tuż obok ogniska. Brzegi pergaminu zaczęły już się zwijać od gorąca, a płomienie lizały jeden róg.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Mapa! - wykrzyknął Jack, odsuwając Lorelei na bok. Rzucił się w stronę ogniska i zaczął gasić płomień gołymi rękami.

- Zostaw to! - zawołała Lorelei. - Poparzysz się!

On jednak nie słuchał. Uderzał rękami w płomień, dopóki ogień nie wygasł, a potem usiadł na ziemi i znieruchomiał, trzymając w palcach nadpalony pergamin. Lorelei uklękła obok i dotknęła jego ramienia.

- Pokaż ręce.

- Nic mi się nie stało - mruknął, nie odrywając oczu od pergaminu.

- Poparzyłeś się - nalegała Lorelei.

- Spaliło się, Lorelei. Część mapy spaliła się - odrzekł z rozpaczą.

- Zapomnij o tej przeklętej mapie! - wykrzyknęła. Wyszarpnęła strzępek pergaminu z jego dłoni i rzuciła go na ziemię. Jack natychmiast znów po niego sięgnął.

- Powiedziałaś, żebyś zapomniał o tej mapie. Nie zmienisz już tego, co się stało - rzekła stanowczo. - Pokaż ręce.

Nie zważając na rozpacz w jego oczach, ujęła jego dłonie i odwróciła wnętrzem do góry. Były brudne i pokryte popiołem. Na palcach zaczynały się już tworzyć brzydkie, różowe pęcherze.

- Och, Jack. Popatrz, co narobiłeś - westchnęła.

- To nic takiego, tylko drobne oparzenia. Bywało gorzej, gdy pracowałem na statkach.

Lorelei była w stanie w to uwierzyć. Dłonie Jacka były kroniką jego życia; ciemne, stwardniałe, pokryte zgrubieniami i śladami dawnych blizn.

- Jesteś kompletnym idiotą - stwierdziła. - I to wszystko dla głupiego kawałka papieru!

Jack wyrwał jej rękę.

- Owszem, jestem idiotą, ale przede wszystkim dlatego, że nieostrożnie obchodziłem się z mapą.

- Masz apteczkę? - zapytała, nie zwracając sobie głowy klótnią.

- Mówiłem ci, że to nic groźnego.

- A ja ci mówię, że za kilka minut zaczniesz cię boleć jak wszyscy diabli.

Powiedz mi, gdzie jest apteczka.

- W samochodzie - mruknął, nie odrywając wzroku od szczątków mapy.

- Mamy jakiś lód?

Jack wzruszył ramionami.

- Chyba nie.

- Daj mi kluczyki.

Zawahał się, patrząc na jej wyciągniętą rękę. Lorelei westchnęła z rozpaczą.

- Przyznaję, że to wielka pokusa, ale nie mam zamiaru zostawić cię tutaj samego w tym stanie i uciec.

- Mam ci uwierzyć? Próbowalaś uciec już dwa razy.

- Nie masz wyboru. Daj mi kluczyki.

- Są w mojej prawej kieszeni. - Jack popatrzył na swoje ręce, a potem na Lorelei. - Musisz je sama wyjąć.

Uniósł ręce nad głowę. Lorelei zbliżyła się i wsunęła rękę do jego kieszeni. Poczowała zapach ogniska. Od bliskości Jacka zakręciło jej się w głowie, on jednak nawet nie próbował jej dotknąć. Wyjęła kluczyki.

- Zaraz wrócę - obiecała.

Jack jednak opuścił ramiona, zamykając ją w uścisku.

- Obiecuj, że nie będziesz próbowała uciekać.

- Obiecuję - odrzekła jednym tchem. Wyrwała mu się i pobiegła do samochodu. Przez chwilę czuła silną pokusę, by złamać obietnicę. Tak łatwo byłoby wsunąć kluczyk do stacyjki i odjechać. To mogła być ostatnia szansa. Z każdą godziną trudniej było jej się oprzeć bliskości Jacka. Spojrzała w jego

stronę i poczuła, że coś ją ściska w gardle. Siedział z ołówkiem w ręku, wpatrzony w pozostałości mapy. Trudno, dała słowo, a poza tym przecież nie może go tak zostawić...

- Jesteś kompletną kretynką, Lorelei Mason - mruknęła do siebie, wyciągając apteczkę z samochodu. Lód stopniał, ale woda nadal była zimna. Zamoczyła w niej ręcznik i zeszła ze wzgórza.

- Wyciągnij ręce - nakazała, podchodząc do Jacka.

Gdy nie zareagował, wyjęła ołówek spomiędzy jego palców i rzuciła go na ziemię. Podniósł na nią wzrok; w jego oczach błyszczał gniew.

- Próbuję odtworzyć to, co zapamiętałem.

- To musi poczekać. Najpierw trzeba oczyścić te rany.

- Nie potrzebuję pielęgniarki.

- Trudno - mruknęła. - I tak ją masz. Daj mi ręce.

- Nic mnie nie obchodzą ręce! Nie rozumiesz? Próbuję odtworzyć to, co było zaznaczone na mapie! Bez tego nigdy w życiu nie znajdziemy złota Holendra.

- Zapomnij o tym przeklętym złocie. To nie jest ważne!

- Dla mnie jest. Mówiłem ci przecież, że to moja druga szansa!

W jego głosie i twarzy było coś takiego, co głęboko poruszyło Lorelei.

- Jack, znajdziesz tę kopalnię, z mapą czy bez niej. Jeśli ktokolwiek potrafi ją znaleźć, to tylko ty.

Gniew Jacka wyraźnie mijał.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał z mieszaniną nadziei i lęku.

- Tak. - Uświadomiła sobie, że to prawda. - W końcu sam się kiedyś chwaliłeś, że jesteś najlepszy w znajdowaniu skarbów.

- Aha. Możliwe, że coś takiego powiedziałem.

Lorelei wylała wodę z manierki na jego ręce. Gdy je oczyściła, okazało się, że poparzenia nie są aż tak wielkie. Lewa dłoń była tylko lekko spuchnięta, a na prawej tworzyło się kilka pęcherzy.

- Pamiętam też, jak opowiadałeś, że ktoś próbował ci sprzedać na Florydzie wykrywacz metalu, a ty mu powiedziałeś, że bardziej wierzysz w swój instynkt.

Na ustach Jacka pojawił się lekki uśmiech.

- Zdaje się, że byłem kiedyś bardzo pewny siebie.

- Nadal jesteś.

- Dziwne, że pamiętasz takie rzeczy. Owinęła jego dłoń mokrym ręcznikiem.

- Pewnie dlatego, że tego rodzaju męska arogancja wywierała duże wrażenie na naiwnej osiemnastolatce.

- Byłaś we mnie zakochana.

- Byłam tobą oczarowana.

Odwinęła ręcznik, pokryła dłoń maścią i zawinęła w gazę. Jack przesunął palcem po jej ramieniu.

- Czy to było tylko tyle, Lorelei? Oczarowanie?

- Tak - skłamała. - Byłeś ode mnie starszy i bardziej doświadczony. Wydawało mi się, że to, co robisz, jest podniecające. Chyba żadna młoda dziewczyna nie oparłaby się komuś takiemu jak ty.

- W takim razie chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, że przeprowadzę mały eksperyment, żeby się upewnić? W końcu masz już dwadzieścia osiem lat, a nie osiemnaście.

- Jaki eksperyment? - zapytała Lorelei podejrzliwie.

- Taki mały test, który powinien wykazać, czy twoje reakcje na mnie spowodowane są wyłącznie hormonami, czy też kryje się za nimi coś więcej.

Ręka Lorelei wsmarowująca maść w lewą dłoń Jacka zadrżała.

- Myślę, że żaden test nie jest tu potrzebny - powiedziała, zabezpieczając gazę plastrem.

Niespodziewanie Jack pochwycił ją za kostkę i pociągnął na siebie, a potem przetoczył się, przykrywając jej ciało swoim.

- Puść mnie, Jack - zawołała Lorelei, próbując się wyswobodzić.

- Jeszcze nie przeprowadziliśmy eksperymentu - odparł, dotykając wargami kącika jej ust.

- Nie interesują mnie takie dziecinne zabawy!

- Wierz mi, kochanie, że to nie jest żadna zabawa - odrzekł Jack, tuląc ją do siebie.

Chciała zaprotestować, ale słowa utkwili jej w gardle. Usta Jacka przesuwały się powoli po jej szyi. Nie trzymał jej zbyt mocno i Lorelei wiedziała, że gdyby rzeczywiście chciała, bez trudu mogłaby się uwolnić i uciec. Nie potrafiła jednak zdobyć się na to i nie udało jej się powstrzymać dreszczu podniecenia, gdy jego wargi znów znalazły kącik jej ust.

Obandażowaną dłonią Jack rozpiął górny guzik jej bluzki i dotknął piersi.

- Masz na sobie za dużo ubrania - wymruczał.

- Przestań - zawołała Lorelei i pochwyciła go za nadgarstek, zanim zdążył rozpiąć następny guzik. - Nie chcę tego - dodała drżącym głosem.

- Kłamiesz. Pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie. A teraz nie jesteś już naiwną nastolatką.

Nie mogła temu zaprzeczyć; nawet nie próbowała.

- Jesteś dobrym kochankiem, Jack. To prawda, że pragnę cię fizycznie.

- Pragnienie to niewłaściwe słowo, Lorelei. Przyznaj, że wciąż się kochamy. Jeszcze dziesięć minut i obydwójce spłoniemy.

Lorelei pokryła się rumieńcem. Usta i dłonie Jacka paliły jej ciało.

- Kochaj mnie, Lorelei - szepnął kusząco, przyciskając wargi do kącika jej ust. - Przecież wiem, że tego chcesz.

- Jack, seks z tobą niczego nie zmieni. Pożądanie to nie to samo co miłość.

- Jesteś we mnie zakochana - upierał się.

- Jestem zakochana w Herbercie.

Na jego twarzy widziała zarówno cierpienie i gniew, jak i niedowierzenie. Ujął ją dłonią pod brodę.

- Mogę ci udowodnić, że kłamiesz - rzekł złudnie miękkim głosem. -

Gdybym się znalazł w tobie, nie pamiętałabyś nawet imienia Herberta.

Serce Lorelei dudniło jak oszalałe.

- Czy mam to zrobić?

Zebrała całą siłę woli i odrzekła nadspodziewanie spokojnie:

- Nie wiedziałam dotychczas, że porwanie jest równoznaczne z gwałtem.

Jack odskoczył od niej jak oparzony i z całej siły uderzył pięścią w zwinięty śpiwór. Lorelei poderwała się na równe nogi i szybko zapięła bluzkę. Wciąż drżąca z podniecenia, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i spojrzała na Jacka. Stał zgięty wpół, przyciskając dłoń do piersi.

- Nic ci się nie stało?

Gdy nie odpowiedział, uklękła obok niego i dotknęła jego ramienia.

- Pokaż rękę.

Pochwyciła go za ramię i obróciła dłoń wnętrzem do góry. Przez bandaż przesączała się krew. Jack szybko wyrwał jej dłoń.

- Wszystko w porządku.

- Nic nie jest w porządku. Przebiłeś pęcherze. Może się wdać infekcja.

Muszę to obejrzeć...

- Powiedziałem, że nic mi nie jest - powtórzył z uporem.

- Pozwól, że przynajmniej zmienię ci bandaż.

- Sam go zmienię. Idź spać, Lorelei - rzekł, podnosząc się i wstając.

Odwrócił się do niej plecami i odszedł w mrok nocy.

Długo szedł ciemnymi ścieżkami, oświetlonymi jedynie blaskiem księżyca, zanim wreszcie ból fizyczny zmniejszył cierpienie duszy. W końcu, wyczerpany, wczuł się do namiotu, ale sen nie nadchodził. Przewracając się z boku na bok bezskutecznie próbował odsunąć od siebie myśli o Lorelei.

Wszystko popsuł. Prawa ręka bolała go jak diabli. Lorelei miała rację. Przebił pęcherze, gdy uderzył pięścią w śpiwór.

Ból dłoni był niczym wobec cierpienia, jakie poczuł, gdy Lorelei powiedziała mu, że kocha innego mężczyznę. Największym ciosem było jednak słowo „gwałt”. Jack nigdy w życiu nie użył przemocy wobec kobiety. Nie musiał. Sama myśl o wzięciu Lorelei siłą napawała go odrazą.

Otworzył oczy i wpatrzył się w leżącą kobietę. Spała zaledwie o pół metra od niego. W świetle księżyca widział cienie jej długich rzęs na białych policzkach. Usta miała lekko rozchylone; dostrzegał niewielki pieprzyk nad górną wargą. Na poduszce rozrzucone były złotobrazowe włosy. Patrzył na nią i czuł, jak wzbiera w nim pożądanie.

Ale gdyby spróbował jej dotknąć, zapewne zarobiłby kopniaka. Odrzucił śpiwór i sięgnął po dzinsy. W kilka minut później odsunął klapę namiotu i wyszedł na chłodne górskie powietrze.

Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Jack postanowił zająć się odtworzeniem zniszczonej części mapy. Przeciągnął się i rozprostował palce prawej ręki. Bolały i były opuchnięte, ale przeżył już gorsze rzeczy. Szkoda tylko, że nie mógł tego samego powiedzieć o mapie. Zły na siebie, jeszcze raz przeklął własną nieostrożność. W każdym razie był pewien, że rano uda mu się utrzymać w palcach ołówek. Poprzedniego wieczoru nie był w stanie tego zrobić.

Usiadł przy ognisku, dorzucił kilka gałęzi i zapalił zapałkę. Poczekał chwilę, aż gałęzie ogarnie płomień, i nastawił wodę na kawę. Czekał, aż woda się zagotuje, usiadł oparty o skałę i rozejrzał się po okolicy.

Góry dookoła niego przypominały ciemne, groźne bestie przyczajone do skoku. Gdzieś między nimi ukryta była kopalnia złota. Czy uda mu się znaleźć ją bez mapy?

Wróciły do niego słowa Lorelei: „Jack, znajdziesz to złoto, z mapą czy bez niej”. Wszystko od tego zależało. Instynkt mówił mu, że bez Lorelei nigdy

nie znajdzie kopalni, a bez złota straci Lorelei. Musiał je więc znaleźć i to szybko, gdyż czas uciekał nieubłaganie. Zostało mu tylko sześć dni.

Rozpostarł przed sobą pozostałości mapy. Obok położył blok do pisania, na którym usiłował narysować to, co zapamiętał ze spalonego fragmentu. Pograżony w myślach, nie słyszał, kiedy Lorelei wyszła z namiotu. Zachowywała się bardzo cicho, ale poczuł, że stanęła za jego plecami.

- Dobrze spałaś? - zapytał, nie podnosząc wzroku.

- Ja... Tak. - Zamilkła na chwilę. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Jack uśmiechnął się. Czy uwierzyłaby mu, gdyby powiedział jej prawdę? Całe jego ciało reagowało na obecność Lorelei jak radar.

- Poczulem twój zapach - wyjaśnił.

- To pewnie mój balsam do ciała.

- Możliwe - mruknął, wpatrując się w mapę. Ten zapach zawsze kojarzył mu się z Lorelei.

- Jak twoja ręka?

Odrzucił ołówek i rozprostował palce.

- Lepiej. Trochę boli, ale już jest wyraźnie lepiej.

Wyciągnął dłoń w jej stronę. Przesunęła palcami po opuchliznie.

- Rzeczywiście wygląda lepiej, ale powinienes zabandażować, żeby nie dostać zakażenia.

- To tylko kilka pęcherzy, a nie rana od noża.

- Mimo wszystko jest ryzyko infekcji. - Spojrzała na niego z troską. - Przyniosę apteczkę i zabandażuję ci rękę.

Tym razem Jack nie protestował, gdy Lorelei smarowała mu dłoń maścią i owijała bandażem.

- Może powinienes odłożyć poszukiwanie złota Holendra na później - powiedziała, zawiązując bandaż.

- Zdawało mi się, że we mnie wierzysz - odrzekł Jack z urazą. - Powiedziałaś, że, twoim zdaniem, znajdę tę kopalnię nawet bez mapy.

- Wierzę w to. Jestem pewna, że potrafisz przeprowadzić wszystko, co sobie zamierzysz. Ale martwię się o ciebie - westchnęła. - I o siebie. A gdyby stało się coś gorszego?

- Lorelei, to tylko niewielkie oparzenie. Wstała i zaczęła krążyć wokół ogniska.

- Ale mogło być o wiele gorzej. A gdyby zapaliła się twoja koszula albo namiot z nami w środku?

Jack stanął za nią, oparł ręce na jej ramionach i przyciągnął Lorelei do siebie.

- Ale nic takiego się nie zdarzyło ani nie zdarzy.

- Skąd wiesz? - zapytała, obracając się twarzą do niego. - Nie możesz być niczego pewien. Te góry są niebezpieczne. Czy wiesz, o czym myślałam, gdy zobaczyłam cię walczącego z tymi płomieniami? Przypomniałam sobie wszystkie opowieści o ludziach, którzy próbowali znaleźć złoto Holendra i zginęli w tych górach. Było ich trzydziestu sześciu, Jack. Trzydzieści sześć osób zginęło, szukając tej choleralnej kopalni. Nie chcę, żeby któreś z nas stało się trzydziestą siódmą ofiarą. Jack pocałował ją w czoło.

- Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało - obiecał. - I zbyt lubię siebie, by się niepotrzebnie narażać. Miło mi wiedzieć, że się o mnie troszczysz, ale nie mam zamiaru doprowadzać do żadnych niebezpiecznych sytuacji.

- Chcę wrócić do domu - powiedziała Lorelei. - Do Herberta.

Jack stłumił przypływ zazdrości.

- Nie zasłaniaj się przede mną Herbertem, Lorelei. Nawet jeśli byłaś z nim zaręczona, to go nie kochałaś - w każdym razie nie na tyle, żeby z nim sypiać.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć? - oburzyła się.

- Twoja siostra mi powiedziała.

Lorelei zacisnęła usta.

- Herbert wiedział, że chcę poczekać z tym do ślubu. Szanował mnie i nie nalegał.

- Zdaje się, że na tym właśnie polega różnica między mną a nim. Bo ja nie musiałem nalegać. Żadne z nas nie chciało czekać do ślubu. - Pochylił się nad Lorelei i pocałował ją w szyję. - I teraz też nie będziemy długo czekać.

Lorelei odsunęła się od niego i uniosła wysoko głowę.

- Powinnaś była uciec stąd ostatniej nocy, kiedy nadarzyła się okazja.

- Ale nie uciekłaś, a teraz już jest na to za późno.

- To tylko tobie się tak wydaje - mruknęła. - Następnym razem, gdy pojawi się jakaś szansa, na pewno ją wykorzystam.

Okazja nadarzyła się kolejnego popołudnia. Po zrekonstruowaniu brakującej części mapy, Jack przeglądał listę zostawionych przez starego Holendra wskazówek dotyczących położenia kopalni. Była to seria irytujących zagadek, które na pozór nie miały żadnego sensu, Jack jednak uparł się, że je rozwiąże.

- Zaczniemy szukać od tego miejsca i pójdziemy na zachód - oznajmił.

Lorelei niechętnie poszła za nim w góry, zaopatrzona w żywność i pełne manierki. Upał był nie do zniesienia. Obszar poszukiwań zawężał się powoli, w miarę, jak Jackowi udawało się rozwiązać kolejne zagadki. Lorelei była podniecona poszukiwaniami i za każdym razem, gdy trafiali w ślepą uliczkę, czuła rozczarowanie. W końcu zatrzymała się, zmęczona, głodna i zgrzana. Miała dość.

- Nie pójdę ani kroku dalej - stwierdziła stanowczo.

Jack spojrział na nią ze skalnej półki wznoszącej się o kilka metrów wyżej.

- Dobrze. Sprawdzimy jeszcze tylko tę jedną grotę i wrócimy do obozu.

- Nie. Nie mam wcale zamiaru wchodzić wyżej i wspinać się na tę przeklętą górę ani zaglądać do żadnych grot. Jack, ja naprawdę mam dość. Zgadzam się tylko zejść na dół.

Jack zdjął kapelusz i otarł ramieniem twarz. Spocony i brudny, przypominał w tej chwili Indianę Jonesa.

- Chodź, kochanie. Zajrzemy jeszcze tylko do jednej groty - kusił ją swym najwspanialszym uśmiechem.

- Nic z tego. Nie idę dalej. Mówię poważnie.

Jack podniósł wzrok na rozżarzone słońce i nasunął kapelusz na głowę.

- Dobrze. Wygrałaś - stwierdził. - Kończymy na dziś.

Lorelei, ku swemu zdumieniu, nie czuła żadnej radości, tylko rozczarowanie, że jeszcze nie znaleźli kopalni. Wydawało się jednak, że Jackowi to nie przeszkadza. Idąc, nie przestawał mówić o tym, jak wspaniały dzień mają za sobą i jak jest dumny z Lorelei, która odkryła niemal niewidoczne wejście do odnogi kanionu.

- Żałuję, że nie było cię ze mną, gdy szukałem szmaragdu w Kolumbii. Na pewno z tobą bym go znalazł. Masz wrodzony talent do odnajdywania skarbów.

Lorelei jednak nie czuła w sobie żadnego talentu, jedynie frustrację i przygnębienie.

W dwie godziny później, gdy dotarli do obozu, była już bardzo głodna i zirytowana.

- Na pewno spodziewasz się, że przygotuję kolację - oznajmiła z irytacją. Jack zdjął kapelusz i otarł twarz.

- Twoja kolej. Ja przygotowałem śniadanie. I nie krzyw się tak, kochanie, bo zrobią ci się zmarszczki.

Lorelei spojrzała na niego gniewnym wzrokiem, ale on tylko zaśmiał się i pocałował ją w czoło.

- Wystarczy nam kilka kanapek albo fasolka z puszki. Ja potem pozmywam naczynia.

- A jeśli odmówię? Jack wzruszył ramionami.

- To ja coś przygotuję, kiedy wrócę. Teraz muszę się umyć.

Ruszył w stronę strumienia, który płynął w pobliżu obozu. Lorelei została sama, nie mając na kim wyładować złości.

Po chwili zastanowienia zdecydowała się na podgrzanie gulaszu. Wrzuciła zawartość puszek do garnka i postanowiła, że użyje kuchenki turystycznej, którą Jack wcześniej rozpakował. Zapaliła zapalną. Nic. Po kilku próbach rzuciła pudełko zapalek na ziemię i poszła poszukać Jacka.

Nagi do pasa, pochylał się nad strumieniem z głową zanurzoną w wodzie. Lorelei zamarła, patrząc na kropelki wody spływające po jego szerokich, opalonych ramionach i plecach. Odwrócił się i rozpiął suwak dżinsów. Lorelei cofnęła się między zarośla i z płonącymi policzkami patrzyła, jak Jack zdejmuje spodnie i buty. Przyszło jej do głowy, że nie powinna tak mu się przyglądać, ale nie miała dość siły woli, by odejść. Zastygła w bezruchu, gdy Jack ściągał spodnie. A więc jednak całe ciało miał opalone. Wraz z tą myślą Lorelei ogarnęła fala pożądania.

Jack wszedł do strumienia. Gdy woda sięgała mu piersi, dał nurka w głąb. Lorelei mocno zacisnęła powieki, wyobrażając sobie to silne, opalone, wilgotne ciało w swoich ramionach. Dobiegł ją plusk wody; otworzyła oczy. Jack wypłynął na powierzchnię i zmierzał w stronę przeciwnego brzegu.

Lorelei wzięła głęboki oddech. Muszę od niego uciec, powtarzała sobie, ogarnięta nagłą paniką. Zerknęła na dżinsy leżące na kamieniu. Jack był teraz o jakieś dziesięć metrów od brzegu. Gdyby się pośpieszyła, może udałoby jej się wyciągnąć z kieszeni jego dżinsów kluczyki i dotrzeć do samochodu, zanim on zdążyłby nałożyć spodnie i pobiec za nią. Musiała to zrobić. Wiedziała, że nie może spędzić jeszcze jednej nocy w jego towarzystwie.

Z dudniącym sercem wyczekiwała na odpowiednią chwilę i gdy Jack znów zanurkował, podbiegła do kamienia. Drżącymi palcami sięgnęła do kieszeni dżinsów i namacała kluczyki.

- Lorelei! Co ty, do diabła, robisz?

Podniosła wzrok. Jack stał pośrodku strumienia z ogłupiałym wyrazem twarzy.

- Przykro mi, Jack. Bardzo mi przykro.

- Poczekaj! - zawołał. Usłyszała plusk wody. Płynął w jej stronę.

- Obiecuję, że przyślę kogoś po ciebie - wykrzyknęła w biegu.

Potknęła się o buty Jacka i wywróciła na ziemię, upuszczając przy tym kluczyki. Z grymasem bólu dźwignęła się na kolana. Jack dopływał już do brzegu. Schwyciła kluczyki i znów zaczęła biec.

Gdy dotarła do polany, usłyszała za plecami jego głos:

- Do cholery, Lorelei, wracaj!

Przez głowę przeszła jej absurdalna myśl, że nie zawracał sobie głowy nakładaniem spodni. Była już niemal po drugiej stronie polany, gdy coś pochwyciło ją za kostkę i pociągnęło na ziemię.

- Puść mnie! - krzyknęła, wierzgając nogami.

- Au! Niech to diabli, Lorelei, przestań mnie kopać! Znów zaczęła się bronić, trafiając go nogą w plecy.

Puścił ją, ale ledwie zdążyła się podnieść, jego ramiona oplótły ją w pasie.

- Co ty wyrabiasz? - zawołał Jack, ciągnąc ją w stronę rzeki.

- Uciekam od ciebie - odrzekła, kopiąc go w łydkę.

- Au! Powiedziałem, żebyś przestała!

- Nic z tego. Wracam do Mesy.

Trzymając ją jedną ręką wpół, drugą sięgnął po dzinsy.

- Powiedziałem przecież, że za pięć dni sam cię tam zawiozę.

- Nie mam zamiaru spędzić z tobą pięciu dni.

- Trudno, i tak będziesz musiała. Teraz nie ruszaj się. Muszę nałożyć spodnie.

Gdy Jack próbował wsunąć nogę w nogawkę, Lorelei udało się wyrwać, ale on w porę pochwycił ją za ramię. Upuścił spodnie i obrócił się, by uniknąć ciosu pięści.

- Co w ciebie wstąpiło?

Lorelei młóciła go pięściami bez opamiętania. Gdy jeden z ciosów dosięgnął szczęki Jacka, nie była pewna, które z nich było bardziej zaskoczono. Zamarła w bezruchu, wpatrzona w jego pociemniałą od determinacji twarz.

- Wystarczy już, kocico - rzekł, unieruchamiając ją w stalowym uścisku i ciągnąc w stronę wody. - Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale trzeba cię ostudzić.

Usiłowała się wyrwać, wierzgając i wrzeszcząc, Jack jednak wziął ją na rękę i zaniósł nad strumień.

- Natychmiast mnie puść! - zawołała.

- Jak sobie życzysz, kochanie.

Zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, co on zamierza zrobić.

- Jack, nie! - krzyknęła rozpaczliwie, wpadając do wody.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wynurzyła się na powierzchnię, prychając i parskając.

- Ty draniu! - syknęła, odsuwając z oczu mokre włosy.

- Zdaje się, że jedno zanurzenie nie wystarczyło, żeby cię uspokoić - stwierdził Jack chłodno. - Muszę to zrobić jeszcze raz.

Krzyknęła i rzuciła się na niego z wściekłością. Jack ledwie zdążył odskoczyć. Lorelei znów znalazła się w wodzie. Wynurzyła głowę na powierzchnię i odnalazła go wzrokiem. Woda ściekała jej po twarzy. Usta miała mocno zaciśnięte, a w złotobrazowych oczach błyszczał gniew.

- Zapłacisz mi za to! - wykrzyknęła z wściekłością.

- Tak? A kto mnie do tego zmusi? Ty? - drażnił się z nią Jack.

- Ja - mruknęła.

Jack z uśmiechem skrzyżował ramiona na piersiach.

- Proszę bardzo, jestem do twojej dyspozycji.

Znów rzuciła się w jego stronę, a on i tym razem się uchylił i wybuchnął śmiechem, patrząc, jak Lorelei wynurza się na powierzchnię po kolejnej próbie nurkowania. Tym razem jednak znalazła się w płytszym miejscu i uwagę Jacka przyciągnęło jej wynurzające się z wody ciało. Naraz zaschło mu w gardle; stał nieruchomo i patrzył na jej piersi oblepione mokrą kraciastą koszulą. Tak był zaabsorbowany tym widokiem, że nie uchylił się w porę.

Lorelei wpadła na niego z całym impetem i wepchnęła go do wody. Instynktownie objął ją ramionami i pociągnął za sobą. Oboje wypłynęli na powierzchnię parskając wodą i łapiąc oddech. Mokre ramiona Lorelei oplecione były wokół piersi Jacka, a biodra wciśnięte w jego podbrzusze. Jack jęknął w duchu i znów pociągnął ją w dół. Zimna woda nie pomogła mu jednak opanować narastającego podniecenia. Niezdolny dłużej się powstrzymywać, po-

chwycił ją za nadgarstki i przywarł ustami do jej warg. Z wrażenia kręciło mu się w głowie.

Naraz oderwał się od niej, porażony myślą, że za chwilę zacznie ją błagać, by pozwoliła mu się kochać - albo, co gorsza, nie będzie w stanie nawet poczekać na jej zgodę. Odsunął od siebie niebezpieczną pokusę i znów wciągnął Lorelei pod wodę. Uznał, że musi się od niej natychmiast oddalić; zaczął szybko płynąć w stronę brzegu.

Za plecami słyszał jej gniewne okrzyki i plusk wody, jakby Lorelei uderzała w nią pięścią. Uznałby to za zabawne, gdyby całe jego ciało nie było tak napięte i rozpalone pożądaniem. Był pewien, że już prawie ją miał. Jej ciało zawsze reagowało na niego; nawet złość nie potrafiła tego zmienić. Jack jednak uświadomił sobie, że nie chce od Lorelei tylko seksu. Pragnął jej miłości.

Zatrzymał się w płytszym miejscu i zaczął iść w kierunku brzegu strumienia. Po chwili Lorelei dogoniła go i znów wepchnęła do wody, uderzając w niego z impetem. Pochwycił ją wpół i wyciągnął na przybrzeżną płyciznę. Ciągnęła go za włosy, jakby chciała wyrwać je wszystkie, ale Jack nie puścił jej.

- Z kim ty właściwie walczysz, Lorelei? - zapytał, patrząc na jej wzburzoną twarz. - Ze mną czy ze sobą? Przecież widzę, że pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie.

Z gardłowym okrzykiem Lorelei przyciągnęła jego twarz do swojej. Jack przewrócił ją na plecy i odsunął się nieco.

- Powiedz to, Lorelei. Powiedz, że wciąż mnie kochasz.

Poczuł zęby Lorelei na swojej dolnej wardze. Obląkańczo przesuwiała dłońmi po całym jego ciele. Nie pora teraz na wyznania, uznał Jack, rozpinając guziki jej koszuli. Ich ciała obmywała lodowata woda, on jednak czuł ogarniający go żar.

Spod rozpiętej koszuli ukazały się jej pełne piersi. Nakrył je dłońmi i zniżył do nich twarz.

- Jack - szepnęła Lorelei, wyginając ciało w łuk i wbijając paznokcie w jego ramię.

- Powiedz mi, czego chcesz, Lorelei. Czego najbardziej pragniesz - szepnął, chwytając delikatny czubek jej piersi zębami.

- T-twoje ręce. Twoje usta - wyjąkała. - Chcę je czuć na sobie.

Jack nie był już w stanie zapanować nad sobą. Przywarł twarzą do piersi Lorelei, jednocześnie rozpinając suwak jej szortów. Uniosła wysoko biodra.

- Jack - wymruczała głębokim, gardłowym głosem, od którego zakręciło mu się w głowie. Pragnął jej tak bardzo, wręcz do szaleństwa, że ledwie był w stanie oddychać. Wsunął drżącą dłoń między jej rozchylone uda. Lorelei głośno krzyknęła i zatopiła zęby w jego ramieniu.

Naraz niedaleko nich rozległ się plusk wody. Lorelei zamarła. Jack gwałtownie obrócił głowę w prawo.

- Co się tu dzieje, do diabła! - zaklął, osłaniając Lorelei własnym ciałem. O kilka metrów od nich jakiś starszy, siwowłosy mężczyzna napełniał manierki wodą.

- Nie przeszkadzajcie sobie - rzekł dobrodusznie, zakręcając manierkę. Przywiesił ją na pasku u ramienia i zajął się następną.

- Co pan tu, do cholery, robi?

Spod gęstych brwi spojrzały na nich jasne oczy w pokrytej siwym zarostem, pomarszczonej twarzy. Intruz mógł mieć od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu lat.

- To chyba oczywiste, synu - uśmiechnął się mężczyzna. - Napełniam manierki przed powrotem w góry. Zaraz zniknę wam z oczu i będziecie mogli wrócić do tego, co robiliście wcześniej.

Niestety, Jack zauważył, że speszona Lorelei zdążyła już zapiąć guziki koszuli i nałożyć szorty. Twarz miała ponurą i unikała jego wzroku. Jack był pewien, że zaczęła już żałować tego, że dała się ponieść rozbudzonym zmysłom.

Na moment zatrzymała na nim wzrok. W jej oczach Jack ujrzał jakiś dziwny błysk. Co to było? - zastanawiał się. Tęsknota? Żal? Odsunęła włosy z twarzy i spojrzała na brzeg.

- Powinieneś być zadowolony, że ten facet pojawił się akurat w tym momencie. Gdyby nie on, moglibyśmy zrobić coś szalonego, czego potem żałowalibyśmy obydwój.

Jack w pośpiechu wyszedł z wody, nie przejmując się tym, że jest nagi. Na brzegu naciągnął dzinsy i w porę zauważył, że Lorelei pochyła się nad kluczykami do samochodu.

- Nie, nie żałowalibyśmy niczego. Przez cały czas ci powtarzam, że bez wątplenia jesteśmy sobie przeznaczeni.

- A ja ci powtarzam, że nie wierzę w przeznaczenie. Idę do obozu przebrać się w coś suchego.

Chwycił ją za rękę.

- Znow chcesz uciekać?

- Nie. Postanowiłam, że wytrzymam jakoś z tobą te pięć dni.

Ucisk w piersi Jacka nieco zelżał.

- Och, kochanie. Poczekaj tylko, a sama się przekonasz. Gdy już znajdziemy to złoto...

- Zgadzam się na ten twój nedorzeczny plan tylko po to, żeby ci udowodnić, iż wcale nie przynoszę ci szczęścia i że przeznaczenie nie ma z tym nic wspólnego. A za pięć dni zawieszysz mnie z powrotem do Mesy.

Za plecami Jacka rozległ się chichot starszego człowieka. Odwrócił głowę. Staruszek nadal siedział nad brzegiem strumienia, napełniając wodą kolejną manierkę. Lorelei również spojrzała na przybysza.

- Wygląda tak, jakby dawno nie jadł porządnego posiłku - zauważyła. - Zapytaj go, czy zechciałby przyłączyć się do nas i zjeść z nami kolację.

- Chyba żartujesz? Ma szczęście, że nie połamałem mu kości.

- Jack!

Westchnął ciężko na widok jej oburzonej miny.

- O rany boskie! Przecież nie tknąłbym go nawet palcem.

Lorelei nie spuszczała oczu ze staruszka.

- Proszę cię, Jack. Zaproś go na kolację.

- O co ci chodzi? Boisz się zostać ze mną sama? - zakpił.

- Nie - westchnęła z desperacją. - Pomyślałam tylko, że miło byłoby dla odmiany porozmawiać o czymś innym niż kopalnie złota.

Powinnam być mądrzejsza, powtarzała sobie Lorelei w duchu, słuchając opowieści Benjamina Timmsa o jego poszukiwaniach kopalni złota. Kto oprócz obłąkanych poszukiwaczy skarbów byłby na tyle głupi, by spędzać lipiec w tych górach? Ben, ze swą pomarszczoną twarzą, kilkudniowym zarostem i wygniecionym kapeluszem, wyglądał zupełnie jak poszukiwacz złota z Dzikiego Zachodu.

- Masz kupę szczęścia, Jack, że twoja piękna pani z tobą wytrzymuje. Niewiele jest takich kobiet w dzisiejszych czasach - powiedział, kiwając ze smutkiem głową i dokładając sobie gulaszu.

- Lorelei jest jedyna w swoim rodzaju - odrzekł Jack. - Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłem, wiedziałem, że jest dla mnie stworzona. Jeśli... gdy znajdziemy złoto Holendra, poproszę ją, żeby za mnie wyszła.

- A czy ty jesteś żonaty? - zwróciła się Lorelei do Bena.

- Nie. Już nie. Kiedyś miałem żonę i córeczkę.

- I co się z nimi stało? - zapytała Lorelei, ale na widok przygnębienia staruszka natychmiast pożałowała swego pytania. Wypił łyk kawy i zapatrzył się w kubek.

- Moja Mary Lou w niczym nie przypominała ciebie, Lorelei. Ale to była dobra kobieta. Nie znajdziesz nigdzie lepszej. To moja wina, że nam nie wyszło. Kiedy urodziła się mała, Mary Lou zapragnęła spokojniejszego życia. Chyba większość kobiet nie chce się włączyć po świecie, gdy pojawiają się dzieci. Upatrzyła sobie domek i odłożyła trochę pieniędzy na jego zakup. To był ładny

domek w Alabamie. - Ben uśmiechnął się smutno. - Była taka podniecona. Przez cały czas sobie wyobrażała, jak go urządzi.

- I co się stało? - zapytał Jack.

- Trafiła mi się okazja kupna mapy, dzięki której mógłbym trafić do kopalni Holendra. To nie była taka mapa dla turystów, jakie wszędzie sprzedają. Moja była prawdziwa. Miała nawet certyfikat autentyczności. - Staruszek westchnął głęboko. - Chciałem za pieniądze przeznaczone na domek kupić mapę, ale Mary Lou się sprzeciwiła. Pokłóciliśmy się.

- I co zrobiłeś? - wypytywał go Jack z napięciem.

- Wziąłem pieniądze przeznaczone na dom i kupiłem mapę. Nigdy nie znalazłem tej kopalni.

- A twoja żona? - zapytał Jack ledwie słyszalnym szeptem.

- Zostawiła mnie. Zabrała dziecko i wyjechała na wschód. Potem się ze mną rozwiodła. Dostała posadę nauczycielki.

Lorelei spojrzała na zaszępialoną twarz Jacka i poczuła, że serce jej się ściska.

- Przykro mi, Ben. Jakże to musiało być dla ciebie okropne!

- Tak jak mówiłem - to wyłącznie moja wina. Ale byłem całkiem pewny, że ta mapa zaprowadzi mnie do skarbu.

- A co z twoją córką? - zapytała Lorelei, chcąc rozproszyć smutek Bena. - Pewnie już jest dorosła.

- Nie mam pojęcia, co się z nią dzieje. Po rozstaniu z żoną nigdy więcej jej nie widziałem. Kilka lat później Mary Lou przysłała mi jakieś papiery do podpisania. Wyszła za mąż za księgowego, który adoptował moje dziecko.

Jack spochmurniał jeszcze bardziej.

- A ty się na to zgodziłeś - wyszeptała Lorelei.

- Zdawało mi się, że tak właśnie powinienem zrobić.

- Przykro mi, Ben. - I była to prawda. Lorelei szczerze współczuła temu staremu człowiekowi.

Ben wzruszył ramionami.

- Jej matka dużo przeze mnie wycierpiała. Nie chciałem tego, ale tak wyszło. Zdawało mi się, że coś jestem swojej córce winien. Poza tym, spójrz tylko na mnie. Spędziłem pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, pracując w rozmaitych miejscach. Niczego się nie dorobiłem. Włóczyłem się po świecie i nigdzie nie zagrzałem miejsca, a większość pieniędzy wydawałem na mapy i wyprawy w te góry, gdzie wciąż poszukiwałem złota. Jakim ja byłbym ojcem dla tego dzieciaka?

- Myślę, że bardzo dobrym - rzekła cicho Lorelei. Oczy Bena rozblęły. Zamrugnął powiekami, powstrzymując łzy.

- Dziękuję ci, Lorelei. Naprawdę bardzo ci za wszystko dziękuję.

Wylał resztę kawy, wstał i sięgnął po kapelusz.

- Chyba powinienem już ruszać.

- Nie musisz iść - powiedziała szybko Lorelei. - Możesz zostać z nami na noc.

- Ona ma rację, Ben - poparł ją Jack. - Jeśli chcesz, to zostań.

- Dziękuję ci, synu. Bardzo mi było miło posiedzieć z wami przy kolacji, ale przywykłem do samotności. Im bardziej się starzeję, tym bardziej lubię własne towarzystwo.

- Ale dokąd pójdziesz? - zaniepokoiła się Lorelei. -

Jest późno. Możesz zgubić drogę i narazić się na niebezpieczeństwo w ciemnościach.

- Miło mi, że się o mnie troszczysz, młoda damo, ale nie musisz się martwić. Jest pełnia i całe niebo lśni gwiazdami. Zresztą, prawdę mówiąc, znam te góry jak własną kieszeń. Mój samochód stoi zaraz za tymi skałami. - Wskazał ręką ogromne głazy. - Mam tu stałe miejsce, gdzie rozbijam obóz zawsze, gdy jestem w tej okolicy. Powinienem to zrobić jak najszybciej. Przed zachodem słońca były chmury. Niedługo spadnie deszcz. Dużo deszczu.

- Dzięki temu odczujemy ulgę po tym upale - zauważyła Lorelei. - Na pewno nie chcesz z nami zostać?

- Na pewno. Nie martw się o mnie. Nic mi się nie stanie - powtórzył. Nałożył kapelusz i przewiesił przez ramię pas z manierkami. - Ta kobieta to prawdziwy skarb, Jack. Pilnuj jej dobrze.

- Mam taki zamiar - odrzekł. Na chwilę zatrzymał wzrok na Lorelei, po czym sięgnął po manierki Bena. - Pomogę ci zanieść je do samochodu. Muszę trochę rozprostować nogi przed jutrzejszą wspinaczką.

- Hm - rzekł Ben, skrobiąc się po brodzie. - Skoro tak, to chyba nie mogę ci odmówić. Do widzenia, Lorelei.

- Do widzenia, Ben. Powodzenia.

- Zaraz wrócę - rzucił Jack, idąc za staruszką skalistą ścieżką.

Zanim wrócił, Lorelei zdążyła pozmywać naczynia po kolacji i rozłożyć śpiwory.

- Myślałem, że będziesz już spała - zdziwił się Jack.

- Właśnie miałam zamiar się położyć - rzekła, wsuwając się do śpiwora. Na wpół świadomie oczekiwała, że Jack znów będzie próbował ją uwieść, i w duchu przyznawała, że tym razem nie miałby z tym wielkich problemów. Jakaś część jej duszy pragnęła go; inna była przerażona tą perspektywą.

Jack jednak zajął się porządkami w plecaku, a potem znów pochylił się nad mapą. Lorelei przewracała się z boku na bok. Wreszcie usiadła i spojrzała na niego. Całkowicie ubrany, siedział na śpiworze z mapą w ręku. Wyczuł jej spojrzenie i podniósł głowę. Serce Lorelei przestało bić na widok pragnienia malującego się w jego oczach.

Z wysiłkiem oderwał od niej wzrok, przesunął ręką po włosach i wstał.

- Dokąd idziesz?

- Muszę się przewietrzyć.

- Nie będziesz się kładł?

- Powinienem jeszcze raz przyjrzeć się tej mapie, zanim wyruszymy rano
- odrzekł, zwrócony do niej plecami.

- Jack, jest późno. Może poczekaasz z tym do rana, a teraz położysz się spać?

- Czy to jest zaproszenie do twojego śpiwora, Lorelei? - zapytał, obracając się gwałtownie.

Przełknęła ślinę. Nie było sensu zaprzeczać.

Oczywiście, będzie musiała powiedzieć o tym, co się stało, Herbertowi. Nie może za niego wyjść, skoro pożąda kogoś innego. Jack był jej pierwszym i jedynym kochankiem. Nadal go pragnęła, ale teraz była już mądrzejsza. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na to, żeby go znów pokochać.

- Ja... pragnę cię - rzekła z trudem. - Po tym, co zaszło dzisiaj po południu, nie ma sensu dłużej zaprzeczać faktom.

Jack opadł na kolana obok niej i drżącymi palcami dotknął jej szyi.

- Powiedz mi, Lorelei, co właściwie proponujesz?

- Romans - wykrztusiła z desperacją.

- Romans - powtórzył, odpinając guziki jej koszuli.

- Tak - szepnęła i przymknęła oczy. Dotyk Jacka przepalał ją na wylot.

- Przykro mi, ale nie mogę spełnić twojego życzenia - rzekł nagle, odsuwając się od niej.

Otworzyła szeroko oczy.

- Jak to?

- Powiedziałem, że nie interesuje mnie tylko seks.

Lorelei poczuła, że krew nabiega jej do twarzy. Słowa Jacka brzmiały zimno i obco. Uniosła wyżej głowę.

- A co jest złego w seksie? Właśnie to łączyło nas kiedyś i jeszcze kilka godzin temu sam tego chciałeś.

Jack zacisnął usta i spojrzał na nią pociemniałymi z gniewu oczami.

- Dziesięć lat temu byłem za głupi, żeby zrozumieć, jaki skarb mi się trafił. Ale już wtedy to nie był dla mnie tylko seks.

- Więc czego ode mnie chcesz? - zapytała z niepokojem.

- Miłości.

Lorelei skrzyżowała ramiona na piersiach, unikając wzroku Jacka.

- Nie jestem pewna, czy potrafiłabym ci ją dać, nawet gdybym chciała.

- W takim razie mamy problem, kochanie. Bo ja nie zgadzam się na nic innego.

Podniósł się i wyszedł z namiotu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czuł się, jakby przeszedł przez piekło. Znów ślepa uliczka, pomyślał. Rzucił plecak na ziemię i usiadł przy szczelinie w ścianie kanionu, nie zważając na czerwony pył i poszarpane krawędzie skał za plecami. Oparł głowę na rękach i mocno zacisnął powieki.

Przed oczami miał twarz Benjamina Timmsa. Myśli o staruszkę prześladowały go przez cały ostatni wieczór i większą część dzisiejszego dnia. On sam podążał podobną ścieżką. Przed dziesięciu laty utracił Lorelei, bo chciał znaleźć coś imponującego. Ile razy wyczyścił swoje konto bankowe do ostatniego centa, by stworzyć sobie następną szansę? Przecież zrezygnował nawet z kupna wypożyczalni łodzi na Florydzie, dzięki której miałby stałe dochody. Kupi ją wówczas, gdy znajdzie złoto Holendra. Jeszcze raz postawił wszystko na jedną kartę.

Za trzydzieści lat będzie wyglądał jak Ben Timms - stanie się samotnym człowiekiem, który poświęcił życie na poszukiwanie nie istniejących czasami skarbów i zmarnował je, tracąc skarb największy - miłość ukochanej kobiety. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

Stracił dziesięć lat, wierząc, że skoro on nadal kocha Lorelei, to i jej uczucie do niego nie wygasło. Owszem, mógł się z nią kochać; wiedział, że ostatniej nocy nie oparłaby mu się. Pragnął jednak jej miłości, nie tylko ciała, a gdy mu odmówiła, usiłował ją rozgniewać. Zyskał tyle, że Lorelei przez cały dzień była wyniosła i nieprzystępna. Rozmawiała z nim chłodno, monosylabami.

Znał ją jednak i wiedział, że nie jest łatwą zdobyczą. Skoro go pragnęła, oznaczało to, że w głębi duszy wciąż go kocha. Postanowił, że jeśli uda mu się zdobyć jej miłość, ofiaruje jej to, czego Ben Timms nigdy nie dał swojej żonie: na zawsze porzuci poszukiwanie skarbów. Kupi wypożyczalnię łódek i zostanie szanowanym człowiekiem interesu, kimś, z kogo Lorelei będzie mogła być dumna.

Najpierw jednak musi odnaleźć kopalnię. Zdjął kapelusz, otarł pot z czoła i wrócił do Lorelei, która siedziała na dużym głazie i patrzyła w niebo. Słońce skryło się za chmurami i upał nieco zelżał.

- Znalazłeś coś? - zapytała, obdarzając go kolejnym lodowatym spojrzeniem.

- Nie - przyznał. - Byłem zupełnie pewien, że ta kopalnia musi być gdzieś tutaj. Wszystkie wskazówki prowadziły do tego miejsca. Czuję, że ją odnajdę.

- A twój instynkt nigdy cię nie zawodzi - mruknęła Lorelei z sarkazmem.

- W ważnych sprawach nigdy. Na przykład w takich, jak moje uczucie do ciebie. Kocham cię, Lorelei.

- Wczoraj w nocy nie chciałeś mnie.

- Chciałem, Lorelei. Zawsze cię pragnę. Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić - odrzekł, odsuwając z jej twarzy kosmyk włosów.

- To dlaczego mnie odtrąciłeś?

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy.

- Bo chciałaś mi dać tylko swoje ciało, a to mi nie wystarczy. Chcę, żebyś mnie kochała.

- Kiedyś już cię kochałam i dobrze wiesz, co dzięki temu zyskałam. Złamałeś mi serce, i straciłam... - Wzięła głęboki oddech i odsunęła się od niego. - Czy wiesz, dlaczego wtedy nie chciałam z tobą rozmawiać? - zapytała, wpatrując się w góry.

- Bo cię zawiodłem. Już za to przeprosiłem. Jezu, czy myślisz, że nie zmieniłbym tego, gdybym mógł cofnąć czas?

- Problem w tym, że nie możesz. Owszem, zraniłeś mnie i cierpiałam okropnie. Ale przede wszystkim byłam śmiertelnie przerażona.

Jack poczuł, że robi mu się zimno.

- Przerażona? Dlaczego? Nie odpowiedziała.

- Lorelei, czego się bałaś?

- Byłam w ciąży - wykrztusiła. - Nosiałam twoje dziecko.

Pod Jackiem ugięły się kolana.

- Jak to? - jęknął. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo nie chciałam, żebyś czuł się zmuszony do małżeństwa ze mną - wyznała ze łzami w oczach.

- Zmuszony... - powtórzył bezmyślnie. - Lorelei, przecież ja chciałem się z tobą ożenić! - W gardle rosła mu wielka kula. - A dziecko...? Czy ty...

- Nie - przerwała mu. - Straciłam je. Poroniłam w tydzień po tym, jak... nie przyjechałeś na ślub.

Jack przesunął dłonią po twarzy. Wyciągnął rękę do Lorelei, ona jednak nie zareagowała.

- Boże, jak ty musisz mnie nienawidzić. Ja sam siebie nienawidzę.

- Nie. Nie nienawidzę cię, Jack. Tylko...

Rdzawy kurz zawirował wokół nich w nagłym porywie wiatru. Jack przyciągnął Lorelei do siebie, by ją osłonić, i spojrzał w niebo. Nad ich głowami zbierały się czarne, ciężkie chmury.

- Co się dzieje? - zapytała Lorelei, rozglądając się dokoła. - Co to takiego?

- Deszcz.

- To dobrze. Trudno znieść ten upał.
- To nie taki deszcz. Musimy się stąd szybko wynosić.

Powinni już wracać do obozu. A teraz było już za późno. Jack wiedział, że nie zdążą. W oddali rozległ się grzmot potwierdzający jego najgorsze przypuszczenia. Nie chciał straszyć Lorelei, ale zanosilo się na wielką ulewę. W powietrzu czuć było nadciągającą burzę.

- Nie zdążymy wrócić do obozu przed deszczem. Musimy znaleźć jakieś schronienie. Idź za mną po tej grani - powiedział. Miał nadzieję, że po przeciwnej stronie znajdą jakąś jaskinię.

Lorelei obrzuciła wzrokiem wąską półkę skalną, która biegła w dół do krawędzi przepaści.

- Ta ścieżka jest za wąska. Spadniemy - powiedziała z obawą.
- Będę cię asekurował. Trzymaj mnie za rękę. Pierwsze krople deszczu rozbijały się już na skałach.

Jack wiedział, że muszą się pośpieszyć. Przycisnął plecy do szorstkiej skały i powoli przesuwiał się wzdłuż ścieżki. Lorelei mocno trzymała go za rękę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Boję się.

- Jeszcze tylko kawałeczek - pocieszał ją. Nieco dalej w ścianie kanionu znajdowała się szczelina. Jack modlił się, by prowadziła ona do grotty.

Lodowaty deszcz lunął z całą siłą, gdy byli na zakręcie półki. Wiał zimny, porywisty wiatr. W dół, do przepaści, zaczęły się staczać pojedyncze kamienie. Jack zauważył, że Lorelei ugina się pod ciężarem plecaka i impetem deszczu.

- Daj mi plecak - zawołał, przekrzykując wicher.

- Poradzę sobie.

Wiedział jednak, że nie wystarczy jej sił na długo. Wiatr zerwał mu kapelusz z głowy. Po stromym skalistym zboczcu spływały strumienie wody. Uświadomił sobie, że nie uda im się dotrzeć do upatrzonej szczeliny. Musiał szybko znaleźć jakąś inną kryjówkę.

Przesuwał się powoli po śliskiej półce, aż dotarł pod skalny nawis; który częściowo osłaniał ich przed deszczem. Przyjrzał się skale po drugiej stronie rozpadliny i zauważył w niej inną szczelinę. Otarł krople wody z twarzy. Między załomami skalnej ściany kryła się niewielka grotka. Może uda się im do niej dotrzeć.

Półkę skalną, na której stali, dzielił od przeciwnej strony rozpadliny mniej więcej metr. Nie było wyboru. Musieli skoczyć i modlić się, by skała po przeciwnej stronie wytrzymała ich ciężar. Jack spojrział na Lorelei. W oczach miała błysk podniecenia, ale wyraźnie widział, że szybko traci siły. Wskazał na rozpadlinę.

- Musimy dojść tą ścieżką do końca i przeskoczyć na drugą stronę.

Lorelei przyjrzała się spadającym kamieniom.

- Jestem gotowa na wszystko, byle tylko schronić się przed tym deszczem.

- Pójdę pierwszy - zawołał Jack. - Skacz, gdy będę już po drugiej stronie.

Złapię cię.

Lorelei skinęła głową. Jack ostrożnie przesunął się do krawędzi ścieżki i jeszcze raz spojrział na drugą stronę. Był pewien, że musi się tam znajdować grotka.

Nie chciał ryzykować skoku z plecakiem. Zdejmując go z ramion pomyślał o schowanej w środku mapie, o wszystkich związanych z nią planach i marzeniach.

- Dobrze się czujesz? - wykrzyknęła Lorelei.

- Tak, tylko muszę się tego pozbyć.

- A co z mapą? Może lepiej ją wyjąć?

- To nie ma sensu. Osłonka i tak spłonęła. Jeśli wyjmę mapę na tym deszczu, to zamoknie i zniszczy się do reszty.

- A jeśli plecak spadnie w przepaść?

- Będę się o to martwić później - odkrzyknął i rzucił plecak na drugą stronę. Plecak zachybotał się na krawędzi rozpadliny i spadł, pociągając za sobą lawinę szarobrazowych kamieni. Jack poczuł ucisk w gardle.

- Jack! - zawołała nagle Lorelei z przerażeniem w głosie. - Musimy się pośpieszyć! Półka za nami zaczyna się osuwać!

W miejscu, gdzie stali przed dziesięcioma minutami, silny strumień wody odłamywał kawałki skał. Zostały im najwyżej dwie, trzy minuty, zanim woda ich dosięgnie. Jack bez chwili wahania skoczył na drugą stronę. Krawędź buta zahaczyła o kamień; brzeg półki zaczął się osuwać i Jack upadł, uderzając głową o skałę.

- Jack! Jack! - krzyczała Lorelei.

Ogłuszony, podniósł głowę; zdawało mu się, że widzi tysiące gwiazd.

- Nic mi nie jest - odkrzyknął. Pochwycił wystający kamień, podciągnął się i zaczął się wspinać na skalny występ. Przy każdym ruchu przeszywał go ból; głowa bolała go, jakby ktoś wiercił w niej świdrem pneumatycznym. Po ramieniu spływała mu krew zmieszana z deszczem; czuł coś lepkiego na lewej skroni.

Muszę dotrzeć do tej półki, powtarzał sobie w duchu. Ostatnim wysiłkiem podciągnął się do góry i wspiął na skalny występ. Wszystko go bolało i kręciło mu się w głowie, ale musiał się spieszyć.

- Rzuć mi swój plecak, Lorelei!

Udało mu się pochwycić plecak i umieścić go wyżej.

- Dobrze. Teraz podejdź do krawędzi półki - zawołał. Lorelei, krok po kroku, zaczęła się przesuwać po skale.

Jack nie spuszczał z niej wzroku.

- Dobrze. Świetnie - powtarzał. - Teraz policzę do trzech. Gdy wypowiem: trzy, skacz z wyciągniętymi rękami, tak żebym mógł cię złapać. Jesteś gotowa?

- Gotowa.

- Raz. Dwa. Trzy!

Lorelei rzuciła się w jego stronę, ale także i jej but ześlizgnął się po mokrej krawędzi skały. Jack w porę pochwycił ją za nadgarstki. Lorelei zawisła całym ciałem nad rozpadliną.

- Nie utrzymasz mnie - wykrzyknęła zrozpaczona. - Spadniemy obydwój!

- Nie puszcze cię! - zapewnił ją Jack. Ręce bolały go od wysiłku. Ostra skała boleśnie wpijała się w zębra. Zaparł się czubkiem buta o wgłębienie i zaczął ciągnąć ukochaną.

- Lorelei! Spójrz na mnie, Lorelei!

Podniosła wzrok i pochwyciła jego spojrzenie. Jack powoli ciągnął ją w górę, w duchu odmawiając modlitwę do anioła stróża, której kiedyś uczyła go matka. Była to jedyna modlitwa, jaką pamiętał z czasów dzieciństwa. Aniele stróżu, wysłuchaj mojej modlitwy... Powtarzał te słowa wciąż na nowo.

Wreszcie ramiona Lorelei ukazały się nad brzegiem rozpadliny. Jack chwycił ją pod pachy i wciągnął na górę. Całe jej ciało drżało.

- Nic ci się nie stało? - zapytała, patrząc na niego uważnie.

- Nic. Czuję się dobrze - skłamał z wymuszonym uśmiechem. - Chodź, zobaczmy, czy miałem rację co do tej groty. Nie wiem jak ty, ale ja mam już dosyć deszczu na dzisiaj.

Objęła go ramieniem w pasie i razem podeszli do szczeliny w skalnej ścianie. Prowadziła tędy wąska, kręta ścieżka. Rzeczywiście, o niecałe dziesięć metrów od półki znajdowała się grota.

- Zdaje się, że miałeś rację - powiedziała Lorelei.

- Mój instynkt nigdy mnie nie zawodzi - wymamrotał Jack i upadł.

Lorelei owinęła głowę Jacka swoją koszulką i powiodła palcami po jego posiniaczonej, poobijanej twarzy. Był bardzo blady. Gdy upadł, w pierwszej chwili przeraziła się śmiertelnie, sądząc, że nie żyje, i żałowała, że sama także nie zginęła. W tej jednej chwili zrozumiała, że mimo wszystkich protestów i

lęków, mimo całego gniewu i żalu, jakie czuje do Jacka, wciąż go kocha. Trzeba było aż lęku o jego życie, by uświadomiła sobie prawdę.

Sama nie wiedziała, jak udało jej się wciągnąć go do groty. Wiedziała tylko, że nie może pozwolić mu zginąć, nie teraz, gdy mieli przed sobą całe życie.

Otarła oczy i pochyliła się nad prowizorycznymi bandażami na jego ramieniu i boku. Nie miała pojęcia, która jest godzina. Zgubiła gdzieś zegarek, prawdopodobnie podczas skoku, ale sądząc po wyglądzie nieba, wkrótce powinien wzejść księżyc.

Jack leżał nieprzytomny już od kilku godzin. Lorelei zdążyła rozpakować swój plecak, wyjąć z niego apteczkę i prowizorycznie opatrzyć rany Jacka, który nie odzyskał przytomności nawet wtedy, gdy ściągała z niego ubranie i owijała go w cienki suchy koc odnaleziony na szczęście w plecaku. Nie obudził się także wtedy, gdy Lorelei rozpałała ognisko ze znalezionych w grocie gałęzi. Jak długo już tak leżał? Wewnętrzny głos szeptał jej, że zbyt długo. Zaczynała w niej narastać panika.

- Jack, kochanie. Proszę, obudź się - szepnęła.

Dorzuciła do ognia kilka patyków i znów pochyliła się nad Jackiem. Nagle z jego ust wydobył się cichy jęk.

- Jack! Jack, słyszysz mnie? - zapytała bez tchu. Otworzył oczy i wpatrzył się w nią.

- Lorelei? - zapytał ledwie słyszalnym głosem. Pochwyciła go za rękę.

- Tu jestem, Jack. Jestem przy tobie.

Spróbował się podnieść, ale tylko skrzywił się z bólu i znów opadł na plecy.

- Boże, czuję się tak, jakby przejechała mnie ciężarówka.

- W apteczce jest aspiryna - powiedziała Lorelei, gładząc go po twarzy. - Jesteś w stanie połknąć tabletkę?

- Tak, tylko pomóż mi się podnieść.

Dźwignęła go i oparła plecami o ścianę groty. Jack połknął aspirynę i zapytał:

- Co się stało?

- Jaką ostatnią rzecz zapamiętałeś? - zapytała, otulając go kocem.

- Szczerze?

- Tak.

- Modliłem się do anioła stróża, żeby nic ci się nie stało - odrzekł z cieniem uśmiechu.

Lorelei uniosła brwi.

- Będziesz mi to musiał kiedyś wyjaśnić dokładniej. Ujął jej rękę i ucałował.

- Mojemu aniołowi stróżowi należą się podziękowania. Jesteś bezpieczna i wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle.

- Och, Jack - zaśmiała się Lorelei. Nie potrzebowała lusterka, żeby wiedzieć, jak w tej chwili wygląda. Owinięta była w oliwkowy koc, całe ciało miała w sińcach, włosy mokre i potargane, a na twarzy nie pozostał nawet ślad makijażu. - Obawiam się, że masz kłopoty ze wzrokiem.

- Wzrok mam dobry. Ty zawsze będziesz dla mnie piękna.

- Dziękuję - odrzekła, zmieszana. Wiedziała, że te słowa są szczerze. Choć sama nigdy nie uważała się za piękność - jej siostry były ładniejsze od niej - Jack potrafił sprawić, że przy nim czuła się najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Przepraszam cię, Lorelei - rzekł, ściskając jej palce.

- Za co?

- Za wszystko. Za to, że zawiodłem cię dziesięć lat temu. I za to, że nie było mnie przy tobie, kiedy straciłaś nasze dziecko, a dziś naraziłem cię na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ujęła jego twarz w dłoń.

- Dzięki tobie żyję. Kocham cię, Jack. Cokolwiek jeszcze się zdarzy, chcę, żebyś o tym wiedział. - Jack otworzył usta, pragnąc coś powiedzieć, ale

uciszyła go pocałunkiem. - Czy wiesz, o co najbardziej się bałam, gdy wisiałam nad tą przepaścią?

- O co?

- Że nigdy już nie będę miała okazji powiedzieć ci, że cię kocham.

Przymknął oczy.

- Nie zasługuję na twoją miłość. Nie po tym wszystkim, co ci zrobiłem.

- Nic mi nie zrobiłeś. Zawsze mówisz o przeznaczeniu. Nasze dziecko...

Może nie było mu przeznaczone się urodzić. Ale myślę, że masz rację. Los dał nam drugą szansę. Kocham cię, Jack.

Uśmiechnęła się, gdy Jack otworzył oczy z głębokim westchnieniem.

- Nie chcesz wiedzieć, o co jeszcze się bałam?

- O co?

- Że zginę i nigdy już nie pójdę z tobą do łóżka.

Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Byli uwięzieni w grocie, ulewa zmyła część ścieżki, a żywności mieli najwyżej na dwa dni. Jeśli mieli tu zginąć, Lorelei chciała umierać w ramionach Jacka.

- Chcę się z tobą kochać - wyznała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ale teraz musisz odpocząć. Obydwoje tego potrzebujemy. Spróbujmy zasnąć - rzekła, owijając się szczelniej kocem.

Jack uniósł się na łokciu.

- Spodziewasz się, że będę spał po takiej rozmowie? - zapytał ze zdumieniem.

Lorelei pogładziła go po policzku.

- Tak. Zajmiemy się tym jutro, kiedy odzyskasz siły. Teraz jesteś cały posiniaczony i poraniony. Na głowie masz wielkiego guza i przez kilka godzin leżałeś nieprzytomny - szepnęła pochylając się nad nim. - Tak się bałam, że już się nie obudzisz.

- Wiem - odrzekł Jack ze wzruszeniem. - Wiem. Ale już jestem przytomny. Nie czuję się najlepiej, ale ważniejsze części mojego ciała nie odniosły żadnych szkód.

- Mimo wszystko nie powinieneś...

- Pragnę cię, Lorelei, tak bardzo, jak jeszcze nigdy nikogo ani niczego nie pragnąłem. Wiem, że mamy kłopoty. Musimy się stąd jakoś wydostać, ale na razie nie chcę o tym myśleć. Nie jestem w stanie - przyznał. - Potrafię myśleć tylko o tobie, o nas i o tym, jak bardzo cię kocham.

- Pokaż mi, jak mnie kochasz - szepnęła, odsuwając koc.

Jack z zachwytem patrzył na jej kremową skórę, która w świetle ogniska przybrała złocisty odcień.

- Dotknij mnie - poprosiła Lorelei.

Drżąca dłoń Jacka przesunęła się po jej szyi, po czym powędrowała niżej, na piersi, brzuch i biodra. Po krótkiej chwili w ślad za nią poszły usta. Lorelei wygięła ciało w łuk.

- Jack - jęknęła, wpijając palce w jego ramiona. - Chcę cię poczuć w środku.

- Jeszcze nie - odrzekł. Chciał, by to trwało jak najdłużej. Pieścił ją, ze wszystkich sił powstrzymując pragnienie, by wejść w nią już, natychmiast. Lorelei dygotała pod jego dotykiem, wykrzykując jego imię. Wreszcie, niezdolny powstrzymać się ani chwili dłużej, Jack zagłębił się w ciele Lorelei i zaczął się poruszać coraz szybciej i śmieiej.

- Otwórz oczy, Lorelei - błagał ją urywanym szeptem. - Spójrz na mnie. Muszę się przekonać, iż nie jest to sen, że naprawdę jesteś moja.

- Jestem twoja - szepnęła, odpowiadając na jego coraz szybsze ruchy. - Tylko twoja! - wykrzyknęła, gdy jej ciało przeszył dreszcz rozkoszy.

- Moja - powtórzył Jack, przyciskając ją do siebie.

Gdy się obudził, słońce właśnie zaczynało wschodzić. Spojrzał na śpiącą obok niego kobietę. Pasma jej włosów lśniły złotem, a jasna skóra na tle brzydkiego, zielonego koca przybrała perłowy odcień.

Znów poczuł pożądanie. Zdumiało go to; kochali się kilkakrotnie, nim wreszcie usnęli, zupełnie wyczerpani. Zastanawiał się, czy to pragnienie kiedyś się skończy.

Odsunął koc i wstał. Wiedział, że jeśli pozostanie obok Lorelei choćby przez chwilę dłużej, to nie będzie w stanie się powstrzymać, by jej nie dotknąć. Ona zaś potrzebowała snu.

Ubrał się, lekko rozmasował zeszywniałe ciało i wyszedł z groty. Nad górami na wschodzie ukazywały się właśnie pierwsze promienie słońca. Deszcz przestał padać w nocy, skalną ścieżką nie płynęła już woda, a leżący niżej kanion wyglądał jak pofałdowana powierzchnia szarozielonego morza.

Pomyślał o zgubionym plecaku i znajdującej się w nim mapie. Nawet gdyby plecak leżał tam gdzieś w dole nienaruszony, nie było sposobu, by go odzyskać. Sfrustrowany, skupił się na obserwowaniu terenu. Trzeba znaleźć

jakieś zejście. Przyjrzał się uważnie skalnej półce prowadzącej w dół do kanionu i naraz zauważył coś, co wyglądało na dawno nie używaną ścieżkę.

Zmarszczył brwi, przypominając sobie jedną z zagadek, którymi stary Holender opisał drogę do skarbu. „Z mojej kopalni widać wojskową ścieżkę, lecz z wojskowej ścieżki nie widać mojej kopalni”. Czy stojąc na skalnej półce, widział wejście do groty? Wydawało mu się, że nie. Wcześniej jednak nie miał pojęcia nawet o istnieniu samej półki.

„Moja kopalnia znajduje się w kanionie skierowanym na północ”. Jack rozejrzał się; owszem, to się zgadzało. Poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej.

„Na drodze do mojej kopalni znajduje się skalna ściana”. Na tę właśnie ścianę wskoczył ostatniego wieczoru.

Rozglądał się wokół z coraz większym podnieceniem. Zagadki Holendra wracały do niego jedna po drugiej. „Żaden górnik nie znajdzie mojej kopalni. Wejście do niej oświetlają promienie zachodzącego słońca”. Teraz jednak Jack stał zwrócony twarzą na wschód; zachodzące słońce nie mogło oświetlać tej półki. Z rozczarowaniem zawrócił w stronę groty. „Ścieżka prowadząca do mojej kopalni zwodzi”. Zwodzi? Jack zmarszczył brwi i potarł podbródek. Może jest tu jakaś inna, ukryta grota z wejściem skierowanym na zachód?

Przez całe jego ciało przechodziły dreszcze podniecenia. Skarb starego Holendra musi być gdzieś w pobliżu. Jeśli znajdzie ten skarb, będzie mógł zaproponować Lorelei małżeństwo. Poczuł przypływ adrenaliny i pobiegł do groty.

Lorelei właśnie przygotowywała śniadanie. Podniosła głowę znad koca, na którym rozłożyła jedzenie.

- Co się stało?

- Chyba wiem, gdzie jest kopalnia starego Holendra - obwieścił Jack triumfalnie, całując ją w usta.

- Gdzie?

- Nie jestem do końca pewien, ale chyba gdzieś w pobliżu tej groty.

- Jak to? - zapytała, powoli podnosząc się z klęczek.

- Przecież straciliśmy mapę. Sama widziałam, jak plecak spadał w przepaść.

- Wiem - odrzekł niecierpliwie. - Ale zapamiętałem wskazówki. Zagadki Holendra. Wszystkie nawiązują do tego miejsca.

Powtórzył jej wszystko, co pamiętał. Wyszli razem przed grotę. Pokazał jej ścieżkę i kształt kanionu.

- Jack, to tylko przypuszczenia. Może powinniśmy teraz wrócić do obozu po zapasy i przyjść tu jeszcze raz.

- Nie mamy na to czasu, Lorelei. Nie jestem wcale pewien, czy potrafilibyśmy znów odnaleźć to miejsce. Nie martw się, deszcz już nie będzie padał. Obiecuję ci, że jeszcze dzisiaj znajdziemy się w obozie. Ale najpierw musimy poszukać kopalni. - Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Kocham cię. Chcę, żebyśmy byli razem, ale bez tego złota, a przynajmniej jego części, nic ci nie będę mógł ofiarować.

- Nie chcę niczego, tylko ciebie.

- Ale ja chcę się z tobą ożenić, mieć dzieci. Potrzebujemy do tego czegoś więcej niż tylko uczucia i obietnic.

- Przecież ja mam pracę.

- Nie mam zamiaru pozwolić, żebyś mnie utrzymywała. - Zamilkł na chwilę. - Jest pewna wypożyczalnia łodzi na Florydzie, gdzie pracowałem od czasu do czasu przez ostatnie pięć lat. Podoba mi się ta praca i jestem w niej całkiem dobry. Mógłbym kupić tę wypożyczalnię, ale brakuje mi pieniędzy. Jeśli znajdziemy kopalnię, będę mógł to zrobić i wtedy się z tobą ożenię.

- Nie potrzebujesz złota, Jack. Mam trochę oszczędności. Jeśli nie to wystarczy, możemy wziąć kredyt w banku.

Jack ucałował jej palce.

- Jestem ci bardzo wdzięczny za tę propozycję, ale nie mógłbym wziąć twoich pieniędzy. Muszę sam zdobyć własny majątek.

- A co będzie, jeśli nie znajdziemy tego złota? Czy wtedy też się ze mną ożenisz?

- Będziemy musieli poczekać. Blask radości zniknął z oczu Lorelei.

- Jak długo?

- Tak długo, jak będzie trzeba. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Nie mogę skazywać cię na życie w ubóstwie. Straciłbym do siebie cały szacunek.

- Mam wrażenie, że znów znaleźliśmy się w tym samym miejscu, co dziesięć lat temu. Nie przyjechałeś na ślub, bo szukałeś skarbu, i widzisz, jak to się skończyło.

- To nie to samo. Tamta historia już się nie powtórzy. Tym razem jesteś tu ze mną. Znajdziemy kopalnię złota, a wtedy weźmiemy ślub i założymy rodzinę.

- Czy jesteś pewien, Jack, że tego właśnie chcesz? Nie mam zamiaru tracić cię po raz drugi.

- Nie stracisz mnie. Zaufaj mi, kochanie. Ta kopalnia jest w pobliżu, czuję to przez skórę.

- A przecucia nigdy cię nie mylą - dokończyła za niego Lorelei z głębokim westchnieniem. - Dobrze. Skąd zaczniemy?

- Grzeczna dziewczynka - rozpromienił cię Jack, całując ją. - Ty zacznij od wejścia do groty, a ja poszukam drugiego wejścia od tyłu.

Lorelei zawahała się.

- Naprawdę wierzysz, że to złoto tu jest?

- Czuję to przez skórę - powtórzył.

Cztery godziny później Lorelei wyprostowała się i otarła twarz połą koszuli. Jediną rzeczą, jaką w tej chwili czuła przez skórę, było zmęczenie. Nawet jeśli złoto było w pobliżu, to nie leżało na wierzchu. Zgrzana i spragniona Lorelei otrzepała ręce z kurzu i weszła do groty, żeby napełnić manierkę.

Napiła się wody i gdy pochyliła się nad plecakiem, szukając gumki do włosów, zauważyła, że coś błysnęło na ziemi w odległym końcu groty.

Zawahała się. Nie miała jeszcze czasu rozejrzeć się po grocie. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest to tylko zagłębienie w skalnej ścianie wielkości średniego pokoju. Byli tu wcześniej inni; świadczyły o tym suche gałęzie w kącie i pozostałości starego ogniska. W najciemniejszym kącie czało się coś, co wyglądało jak szkielet.

Odpędzając od siebie lęk, Lorelei podeszła bliżej. Znowu zauważyła jakiś błysk. Po plecach przebiegł jej dreszcz podniecenia. Jej wzrok padł na leżącą pod ścianą czaszkę. Przypomniała sobie wszystkie opowieści o zaginionych poszukiwaczach skarbu Holendra. Może to, co błysnęło, to złoty ząb jednego z nich.

Zadrżała, ale zrobiła jeszcze jeden krok do przodu. Teraz z kolei przyszły jej na myśl indiańskie legendy o duchach nawiedzających te góry. Starzy ludzie mieszkający w okolicy twierdzili, że to sam stary Holender pilnuje swojego skarbu.

- To wszystko bzdury - mruknęła do siebie, trącając czaszkę butem. Pod kamieniem znowu coś błysnęło.

Wyjęła zza pasa latarkę i oświetliła skalną ścianę. Skala była wilgotna. Coś lśniło po lewej stronie. Lorelei pochyliła się i podniosła bryłkę złota wielkości monety.

- Och, Boże - szepnęła, zaciskając wokół niej drżące palce. Wybiegła z grotu, głośno wołając Jacka.

Wyszedł właśnie ze ślepego zaułka w grocie. Z oczami rozszerzonymi lękiem pochwycił ją za ramiona.

- Co się stało?

Roześmiała się głośno. Była jednocześnie szczęśliwa, podniecona i śmiertelnie przerażona.

- Na litość boską, Lorelei - zdenerwował się Jack, potrząsając nią mocno.

- Powiedz mi, co się stało!

- To - wykrztusiła i pokazała mu bryłkę złota. - To - powtórzyła, podnosząc bryłkę na wysokość jego oczu.

- To jest złoto.

- To znaczy...

Znów Wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Jack, zdaje się, że znaleźliśmy kopalnię starego Holendra!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Miałaś rację - stwierdził Jack, odsuwając czekanem nadpróchniałe deski ukryte za stertą luźnych kamieni. Deski poddały się łatwo; za nimi znajdował się ciasny tunel.

- Dobra - rzekł, otrzepując się z kurzu. - Poświeć mi. Lorelei powiodła latarką po ścianach tunelu i z wrażenia zaparło jej dech.

- Złoto!

W skale tkwiły złote bryłki wielkości pięści dorosłego mężczyzny. Znaleźli kopalnię starego Holendra. Jack osiągnął swój życiowy cel, spełniło się jedno z jego największych marzeń. A stało się to dzięki Lorelei.

Uśmiechnął się szeroko i brudnymi rękami objął jej twarz.

- Wiesz, co to oznacza, prawda?

- Tak - zaśmiała się. - Teraz już nie masz żadnej wymówki. Musisz się ze mną ożenić.

Pocałował ją mocno, przepełniony radością.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Stój tu i poświeć mi latarką. Wejdę do środka.

- Ale ja chcę ci pomóc - oświadczyła.

- Kochanie, najlepiej mi pomożesz, nie wchodząc do tego tunelu. Sprawia wrażenie, jakby lada chwila miał się zawalić. Jeśli ze mną pójdziesz, niewiele zrobię, bo będę zajęty wyłącznie martwieniem się o ciebie.

- Jack, przecież nie uda ci się wydobyć całego tego złota samemu.

- Nie jestem chciwy. Nie chcę zabrać wszystkiego. Chcę wziąć tylko tyle, by móc kupić tę wypożyczalnię. A poza tym nawet gdybym wydobył wszystko, i tak nie byłbym w stanie ściągnąć tego złota na dół bez odpowiedniego sprzętu. Obiecuję ci, że nie zajmie mi to wiele czasu. Posiedź tu i zastanów się, jaki chcesz mieć ślub.

Wszedł do tunelu i zabrał się do pracy. Dłutem wydłubywał bryłki złota ze ścian, starając się robić to jak najostrożniej, by dodatkowo nie osłabiać i tak niepewnej struktury skał. Po dwóch godzinach rozboleły go wszystkie mięśnie, a zranione ramię domagało się wypoczynku. Nie przerywał jednak pracy, zdecydowany wydłubać tyle złota, ile potrzebował na początek wspólnego życia z Lorelei. Ściany tunelu zaczynały drżeć; coraz więcej pyłu sypało się na głowę i ramiona Jacka, a uderzenia dłuta wprawiały skałę w coraz gwałtowniejsze wibracje.

- Jack, wszystko w porządku?

Usłyszał głos Lorelei tuż za plecami i odwrócił się szybko. Pochyliła się nad podłożem, znajdując się zbyt blisko niego i zbierając złote grudki.

- Lorelei! - wykrzyknął. Wyprostowała się i wyciągnęła rękę.

- Ja tylko...

- Idź stąd - nakazał surowo. - Mówiłem ci, że tu nie jest bezpiecznie.

Zawahała się, po czym wsunęła grudki do kieszeni i zniknęła w wylocie tunelu.

W godzinę później Jack zawiązał zdobycz w tobołek zrobiony z koszuli i zaczął się wycofywać do wyjścia. Naraz usłyszał krzyk Lorelei. W pośpiechu potknął się o kamień. Bryły złota rozsypały się dokoła niego. Nie tracąc czasu na ich zbieranie, podniósł się i biegiem ruszył do wylotu tunelu.

Leżała tam Lorelei, wijąc się z bólu. Lewą dłoń mocno zaciskała na nadgarstku prawej.

- Co się stało? - zapytał przerażony, przyklękając obok niej.

- P-pająk mnie ugryzł - wykrztusiła, blada z bólu. - Tarantula. Wypełzła spod kamienia.

- Pokaż - powiedział szybko, rozprostowując jej palce. Wiedział, że ukąszenie przez tarantulę nie jest śmiertelne, ale ogromnie bolesne. Przegub dłoni Lorelei był zaczerwieniony i już zaczynał puchnąć. Pocałował obolałą rękę i przeniósł Lorelei na koc. - Wiem, że to boli, kochanie. Dam ci aspirynę. Może choć trochę złagodzi ból.

Nie zważając na trzaski i tąpnięcia dochodzące z tunelu, skupił się na Lorelei.

- Otwórz usta - polecił i położył jej aspirynę na języku.

- Jack - wyszeptała Lorelei, trzęsąc się jak w febrze. - M-muszę się dostać do szpitala. M-mam alergię.

Jack poczuł, że serce przestaje mu bić.

- Masz alergię na ukąszenia pajaków? Skinęła głową.

- N-na pewno tak. Miałam taką s-samą reakcję na ukąszenie p-pszczoły i osy - rzekła, wstrząsana dreszczami. Przyłożyła rękę do gardła, z trudem łapiąc oddech. - M-muszę pojechać do szpitala. Umrę, j-jeśli krtań mi opuchnie.

Szpital znajdował się u podnóża gór.

- Nie umrzesz. Nie martw się. Zawiozę cię do szpitala.

Nie był pewien, czy go usłyszała; wyglądało na to, że traci przytomność. Przypiął manierkę do pasa, zarzucił plecak na plecy, wziął Lorelei na rękę i wyszedł z grotu. Twarz miała bladą jak papier, a czoło spocone.

Ruszył w dół po skalnej półce, nie zważając na upał ani na to, że słońce świeci mu prosto w twarz.

- Lorelei, słyszysz mnie? - zapytał, przejęty lękiem.

- P-pić - wyszeptała. Przyłożył manierkę do jej ust.

- Boli - jęknęła, odsuwając manierkę. - Wszystko mnie boli.

Oczy Jacka wypełniły łzy.

- Poczekaj, kochanie. Wytrzymaj jeszcze trochę. Zawiozę cię do szpitala.

Dobry Boże, modlił się, schodząc na dół z Lorelei w ramionach. Pozwól jej żyć!

Godziny mijały. Lorelei robiła się coraz bledsza. Zanim dotarli do brzegu kanionu, skąd już niedaleko było do obozu, słońce zaczęło zniżać się na niebie. Twarz Lorelei była szara jak popiół. Włosy miała wilgotne od gorączki. Jack już od dłuższego czasu przestał czuć ból w ramionach i skurcze w łydkach. Resztką woli zmusił się do przejścia ostatniego odcinka. Gdy zza skał wyłonił się ich obóz, serce w nim zamarło; namiot zniknął, kuchenka leżała roztrzaskana. W szaleńczym pośpiechu wspiał się na grań, za którą stał samochód. Wiedział, że jeśli samochód też zniknął, nie zdąży do szpitala na czas.

Furgonetka stała na swoim miejscu. Jack omal nie padł na kolana ze szczęścia. Przypiął Lorelei pasami do fotela i ruszył w stronę Apache Junction.

Zatrzymał samochód dopiero przed szpitalem i wniósł Lorelei do środka.

- Natychmiast potrzebuję lekarza - rzekł szorstkim głosem do siedzącej za biurkiem kobiety.

Na widok wyrazu jego twarzy recepcjonistka wybiegła z pokoju i wróciła z młodym mężczyzną w białym fartuchu.

- Pan jest lekarzem? - zapytał Jack sceptycznie.

- Podobno. O co chodzi?

- Ugryzł ją pajak - odpowiedział Jack, wskazując na Lorelei. - Tarantula.

- Niedobrze - skrzywił się chłopak.

- Gorzej. Ona ma alergię.

Młody lekarz najwyraźniej zaczął się denerwować.

- Proszę ją tutaj położyć - polecił, wprowadzając Jacka do sali przyjęć.

Przytknął stetoskop do piersi Lorelei i zmierzył jej puls.

- Jest w szoku i ma zbyt niskie ciśnienie krwi.

Lorelei była bardzo blada, usta miała sine.

- Jak ona się nazywa? - zapytał lekarz.

- Lorelei Mason.

- To pana żona? - pytał lekarz, nie przerywając badania.

- Narzeczona.

- Ma spuchniętą krtań i oddycha zbyt płytko. Wydał kilka pleceń pielęgniарce, która po chwili przyniosła mu strzykawkę.

Jack stał na uboczu, przytłoczony poczuciem winy. Gdyby nie on, Lorelei byłaby teraz bezpieczna. Obiecał sobie, że jeśli wyjdzie z tego, on zniknie z jej życia na zawsze. Miała rację; mógł jej ofiarować tylko cierpienie.

- Jak dawno się to stało? - zapytał znów lekarz.

- Jakieś sześć czy siedem godzin temu.

- Gdzie?

- W Zaklętych Górach. Doktorze, czy ona wyzdrowieje?

- Miejmy nadzieję. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało się panu dotrzeć tu tak szybko. Przypuszczam, że przez większą część drogi niósł ją pan na rękach. Ale zdaje się, że ocalił pan jej życie. Jeszcze godzina i... Czy ona jest uczulona na jakieś leki?

- Nie wiem - przyznał Jack. - Ale mogę zadzwonić do jej rodziny.

- Proszę to zrobić. Przy okazji może pan wziąć prysznic i przebrać się.

Jack spojrział na swoją rozchełstaną koszulę i wytarte dżinsy. Brudny, nie ogolony, z zaczerwienionymi oczami zapewne sprawiał wrażenie szaleńca.

- Zadzwonię do jej rodziny i zaraz tu wrócę - powiedział, wychodząc na korytarz.

Lorelei otworzyła oczy i z niedowierzaniem wpatrzyła się w znajome twarze.

- Mama? Tato?

- Och, Bogu dzięki - zawołała matka i drżącymi rękami pogładziła ją po policzku. - Moje biedne dziecko. Jak się czujesz?

- Pić mi się chce - odrzekła Lorelei. Usiadła i napiła się wody, którą podał jej ojciec. Miała wrażenie, jakby dopiero co ukończyła maraton.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu w Apache Junction - wyjaśnił ojciec.

- W szpitalu - powtórzyła Lorelei, patrząc na kroplówkę podłączoną do swojego ramienia. Wszystko wróciło do niej w jednym błysku pamięci. Ulewa. Znalezienie kopalni. Ugryzienie pająka. Odgłos walącego się tunelu i rozpacz na twarzy Jacka, gdy wynosił ją z groty. Dlaczego go tu nie ma?

- Gdzie jest Jack? - zapytała z nagłym lękiem.

- Czeka na zewnątrz.

- Powinienem mu sprawić lanie za to, że cię porwał - zagrmiał ojciec. - Ale zdaje się, że on sam ma ochotę wymierzyć sobie karę.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedziała Lorelei. Matka odgarnęła jej włosy z czoła.

- Kochasz go?

- Tak. Chyba zawsze go kochałam, nawet wtedy, gdy wydawało mi się, że go nienawidzę.

- Tak bywa - uśmiechnęła się matka. - Twój ojciec często doprowadza mnie do szału i któregoś dnia pewnie wreszcie go zamorduję, ale nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niego.

- Ja czuję to samo - uśmiechnęła się Lorelei i w tej samej chwili Jack stanął w progu sali. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i przygnębienie. W oczach nie miał nawet śladu zwykłego uśmiechu; były puste, wypalone, bez blasku.

- Jak się czujesz? - zapytał, stając przy drzwiach.

- Lepiej. Prawie jak nowo narodzona.

- Pójdę powiedzieć twoim siostram, że już się obudziłaś - wtrąciła matka i wymknęła się z sali, pociągając za sobą ojca.

- Wyglądasz o wiele lepiej niż wczoraj wieczorem - stwierdził Jack.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie. Kiedy spałeś po raz ostatni?

Jack tylko wzruszył ramionami.

- Zdrzemnąłem się trochę na kanapie w poczekalni.

- I pewnie obwiniasz się za to, co się stało.

- Omal nie umarłaś przez ten mój głupi pomysł.

- Przestań sterczeć przy tych drzwiach i podejdź bliżej - zażądała Lorelei, ale w tej chwili do sali wszedł lekarz. Na kieszonce fartucha wyhaftowane miał nazwisko Stevens.

- I jak się pani czuje, panno Mason? - zapytał, mierząc jej puls. - Nieźle nas pani przestraszyła ostatniej nocy. A Jack jeszcze bardziej. Pielęgniarki do tej pory opowiadają sobie o dzikim człowieku z gór, który wpadł tu jak burza, niosąc panią na rękach i domagając się udzielenia pomocy.

- Czuję się znacznie lepiej. Kiedy będę mogła stąd wyjść?

- Jeśli stan się nie pogorszy, to wypiszemy panią jutro. Dam znać pani siostrze, że mogą już wejść. - Odłączył kroplówkę i klepnął Jacka w ramię. - Niech pan uważa na naszą pacjentkę. Nie wolno jej się przemęczać.

Do pokoju wpadły obydwie siostry Lorelei.

- Och, Lorelei, czy kiedyś mi to wybaczysz? - szlochała melodramatycznie Desiree, urodzona aktorka.

- Przestań zawodzić - skrzywiła się Clea, spoglądając na Jacka, a potem na Lorelei. - Czy mam go stąd wyrzucić? - zapytała zupełnie poważnie.

Lorelei znała poglądy swej starszej siostry, zapalanej feministki, na cały rodzaj męski, toteż odpowiedziała szybko:

- Nie, dziękuję. Postanowiłam go zatrzymać.

- A co z Herbertem? - zapytała Clea.

- Wiesz, wyjechał razem z matką do Europy, żeby przeboleć jakoś ten skandal - wyjaśniła Desiree.

- Skandal? - powtórzyła oszołomiona Lorelei.

- Mhm. A jak inaczej nazwiesz to, że Herbert został sam przy ołtarzu? - zapytała Clea z lekkim uśmiechem.

- I to wszystko moja wina - pociągnęła nosem Desiree.

- Słuchajcie, muszę teraz porozmawiać z Jackiem w cztery oczy - wtrąciła Lorelei.

- Chodź. - Clea pociągnęła Desiree za rękę. - Popraw sobie makijaż.

Słyszałam, że ten przystojny doktor Stevens pytał matkę o ciebie.

- Naprawdę? - rozpromieniła się Desiree i obie siostry wyszły na korytarz.

- Jack...

- Lorelei...

- Ty pierwszy - zgodziła się Lorelei.

- Chcę cię przeprosić. Wiem, że to trochę za późno i że nie jestem w stanie odwrócić cierpienia, jakie ci zadałem - rzekł, krążąc niespokojnie po pokoju.

- Za co właściwie przepraszasz, Jack?

- Za wszystko.

- Włącznie z tym, że się kochaliśmy? Jack znieruchomiał.

- Nie. Tego nie żałuję. To była najwspanialsza rzecz, jaka zdarzyła mi się w życiu.

Gdy znów przechodził obok niej, chwyciła go za rękę i spojrzała mu w oczy. Malowało się w nich cierpienie i poczucie winy.

- A ty jesteś najwspanialszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymałam od losu, Jack.

- Jak możesz tak mówić?

- Kocham cię. I nie pozwolę, żebyś ode mnie odszedł. Powiedziałeś, że kiedy znajdziesz kopalnię, ożenisz się ze mną. Znalazłeś ją. I nawet jeśli przeze mnie straciłeś złoto...

- Nic mnie nie obchodzi kopalnia ani złoto. O mało nie umarłaś przeze mnie.

- Uratowałeś mi życie.

- Tak, po tym, jak prawie je straciłaś przez moją głupotę - prychnął.

Lorelei podeszła do szafki i wyjęła z niej ubranie, które miała na sobie, gdy Jack przywiózł ją do szpitala.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy chcesz tam wrócić i odnaleźć kopalnię

- powiedziała, wkładając ubranie do przygotowanej przez matkę torby.

- Tego jeszcze nie wiem.

Myśl o złocie starego Holendra straciła dla Jacka wszelki urok. Teraz, gdy stracił Lorelei, jedyny prawdziwy skarb, jaki kiedykolwiek posiadał, żaden inny nie wydawał mu się już pociągający

- Myślałam, że zechcesz odnaleźć kopalnię, żeby móc kupić tę firmę na Florydzie.

Jack wzruszył ramionami.

- Może dogadam się jakoś z właścicielem i z bankiem.

- Ile gotówki na to potrzebujesz?

- Chyba musiałbym dołożyć jeszcze dwa razy tyle do tego, co mam. Nie wiem dokładnie. Dlaczego pytasz?

Lorelei sięgnęła do kieszeni szortów. Wyjęła garść złotych grudek i z uśmiechem podała je Jackowi.

- Czy to wystarczy? To bryłki, które zebrałam w kopalni.

Jack patrzył oszołomiony to na nią, to znów na złoto.

- Nie chcę twojego cholernego złota. Czy myślisz, że musisz mi zapłacić za to, żebym zniknął z twojego życia? Schowaj to, Lorelei.

- Nie zerwiesz się już z haczyka mojej wędki, Jack. Musisz się ze mną ożenić.

Spojrzał na nią tak, jakby postradała zmysły.

- Czy ty wiesz, co mówisz? Jak możesz chcieć, żebym się z tobą ożenił?

Przez całe życie przynosiłem ci tylko cierpienie. Zawiodłem cię dziesięć lat temu. Nie było mnie przy tobie, kiedy straciłaś... - zamilkł na chwilę - kiedy

straciłaś nasze dziecko. A potem zniszczyłem twoją szansę na poślubienie dobrego, porządnego człowieka, który potrafił coś w życiu osiągnąć i który mógłby ofiarować ci znacznie więcej niż tylko głupie marzenia. To wszystko prawie kosztowało cię życie. Nie pozwolę, żebyś je teraz zmarnowała dla mnie. Porozmawiam z Van Owenem i spróbuję jakoś załagodzić sytuację. Wyjaśnię mu, iż to była moja wina, że nie chciałaś ze mną jechać. Może uda się wszystko naprawić.

Widziała, obserwując wyraz jego twarzy, ile go kosztuje ta obietnica.

- Nie chcę wychodzić za Herberta.

- Na pewno chcesz. On reprezentuje wszystko, czego zawsze pragnęłaś. Jest odpowiedzialny, ma dobrą pracę. Zapewni ci poczucie bezpieczeństwa.

- A ja zanudzę się przy nim na śmierć - przerwała mu Lorelei. - Miałaś rację, kiedy stwierdziłaś, że w głębi duszy nadal jestem poszukiwaczką przygód. Jedyną rzeczą, jakiej potrzebuję, to świadomość, że mnie kochasz.

- Lorelei, nie kłamałem, gdy mówiłem, że nie mam niczego, co mógłbym ci dać. Nawet nie wiem, czy znajdzie się jakiś bank, który zechce udzielić mi kredytu na zakup tej wypożyczalni.

- To poszukamy innego banku. Albo jeszcze lepiej: co ty na to, żeby wrócić w góry i poszukać następnej kopalni złota?

Jack patrzył na nią jak ogłuszony.

- Wiesz chyba o tym, że zupełnie zwariowałaś?

- Jestem w tobie wariacko zakochana.

- Przecież chciałaś mieć dom, poczucie bezpieczeństwa!

- Ty jesteś moim domem. Kocham cię - powtórzyła. Jack porwał ją w ramiona i ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd idziemy? - zaśmiała się Lorelei.

- Porywam cię, kochanie - wyjaśnił z promiennym uśmiechem.

- Znowu?

- Tak.

- Dokąd tym razem?
- Musimy znaleźć księdza, który natychmiast udzieli nam ślubu.



RS